



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

LISTOPAD - GRUDZIEŃ
1994

6 (23) 1994

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH • WROCŁAW



Ania Patykówna z Nowego Sącza - uroczą wykonawczyni lwowskich piosenek fot. J.Chasior

DANUTA NESPIAK Komu pomniki, komu pamięć w „Zakierzonym Kraju”	1
ANDRZEJ POLAN O istocie sprawy	3
JERZY MASIOR Widok z okna	4
Cicha noc	4
NOWE PERSPEKTYWY DLA CMENTARZA OBROŃCÓW LWOWA	5
LESZEK SAWICKI Po „Burzy” (dokończenie)	6
MARCIN FABIAŃSKI Na skraju Dzikich Pól. Wspomnienia Tadeusza Fabiańskiego	9
MARIOŁA SZYDŁOWSKA Teatr lwowski za dyrekcji Tadeusza Pawlikowskiego (1900-1906)	10
DANUTA NESPIAK Profesor Rudolf Weigl był Polakiem z wyboru	11
MARIA WANKE-JERIE 150 lat Politechniki Lwowskiej	14
ANDRZEJ WISZNIEWSKI Lwów pokazał na co go stać	15
RYSZARD BRYKOWSKI Jeszcze o Gimnazjum im. Kazimierza Jagiellończyka w Kołomyi	16
DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ Moje wspomnienia o księdzu dr. Romanie Dacy	17
KS. JAN KURDYBELSKI Wołyński rodowód parafii Minkowice Oławskie koło Wrocławia (dokończenie)	19
FRANCISZEK KONARSKI Trzy ziemie	24
Dwie strony tragedii	25
JERZY MASIOR Nad „Tamtym Lwowem”	26
TADEUSZ KUKIZ Tematyka kresowa w miesięczniku „Spotkania z zabytkami”	28
EUGENIUSZ DMYTRÓW Powstanie i zagłada wsi Ostoja (suplement)	30
APELE	31
NASI CZYTELNICZY PISZĄ	32
AKTUALNOŚCI	34
Z ŻYCIA TOWARZYSTWA	35
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	36

Redaguje Kolegium w składzie: Krzysztof BULZACKI, Andrzej CHLIPALSKI, Wiesława JELEŃSKA-HOMBEK, Andrzej KAMIŃSKI, Danuta KOTOWICZ, Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Danuta TABIŃSKA-JUHASZ, Jan ZIEMBIŃSKI

Redakcja: Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI (red. naczelny), Jerzy PETRYŃSKI

Redakcja techniczna: Małgorzata WANKE-JAKUBOWSKA, Maria WANKE-JERIE

Adres Redakcji: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Wrocław, Rynek-Ratusz 7/9 tel. 44-88-93

Wydawca: Fundacja Kresowa „SEMPER FIDELIS” — PKO IV O/Wrocław Nr 93549-10012-132-3

Prezes Fundacji: Danuta TABIŃSKA-JUHASZ

Materiałów nie zamówionych redakcja nie tworzy. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

George Nathaniel lord Curzon proponując słynną linię miał się oprzeć na uzgodnionym 10 lipca 1920 roku stanowisku premiera Wielkiej Brytanii Lloyd George'a z premierem Polski Władysławem Grabskim. W odcinku południowym miała ona przebiegać wzdłuż linii frontu wojsk polskich i bolszewickich w Galicji Wschodniej a Lwów pozostawiała po stronie polskiej. Podpisana przez Curzona nota, którą Lloyd George wysłał nazajutrz tj. 11 lipca 1920 roku do Moskwy nie pokrywała się jednak z poprzednio przyjętymi uzgodnieniami właśnie na odcinku południowym przesuwając go znad rzeki Zbrucz o 250 km na zachód pod Przemyśl i Lwów znalazł się po stronie rosyjskiej. Czy był to tylko błąd londyńskiego zespołu dyplomatycznego jak sugeruje Norman Davies w swojej *Historii Polski* (t.II, 1991, s.625) czy też celowa akcja antypolska? Na szczęście fakt ten nie odegrał znaczącej roli przy ustalaniu granicy polskiej w traktacie ryskim. Na nasze nieszczęście odegrał decydującą rolę i miał tragiczne konsekwencje na konferencjach w Teheranie i Jaltcie.

Komu pomniki, komu pamięć w „Zakierzonym Kraju”

DANUTA NESPIAK

Dzisiaj tereny polskie na lewo od Bugu i Nadsanie to „Zakierzony Kraj” w wypowiedziach b. członków UPA w Polsce zrzeszonych przede wszystkim w Związku Ukraińskich Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego z siedzibą w Koszalinie. Ale terminu tego użył również lubelski dziennikarz Henryk Pająk w jednej ze swoich książek pisząc: „Bez wczucia się w dramat rozdieranego narodu, rodzin, wiejskich społeczności ... nie jest możliwe obiektywne spojrzenie na istotę powojennego ukraińskiego ruchu na Zakierzonym Kraju (Za samostijną Ukrainę, Lublin 1992, s.23) oraz polski historyk Ryszard Torzecki w swojej pracy „Polacy i Ukraińcy” Warszawa 1993, s.296-298. Czy województwo zamojskie i przemyskie to jest Polska czy „Zakierzony Kraj”? Bo jeżeli nadal będziemy tolerować takie określenia w stosunku do tej części Polski w publikacjach czy publicznych wypowiedziach (a miały one ostatnio miejsce) to za jakiś czas inni może będą pisać o Przywiślańskim Kraju.

Spotkały się w końcu X wieku dwa przeciwstawne sobie zmagania na ziemiach między Wisłokiem, Bugiem i Zbruczem, związane z powstaniem dwóch słowiańskich organizmów państwowych — łacińskiej Polski na zachodzie

i prawosławnej Rusi Kijowskiej na wschodzie. A początkiem tych zmagani była grabież ziem. Dowód: pierwsza, pewna historyczna wiadomość zamieszczona w źródłach (nie polskich! to ważne) lecz ruskich na ten temat dotyczy roku 981. Pod tą datą w najstarszej kijowskiej kronice *Powist' wremiennych lit* mnich Ławry Pieczerskiej Nestor (1056-1114) zapisał, że książę kijowski Włodzimierz wyprawił się na Lachów i zajął grody ich Przemyśl, Czerwień i inne. Mnich ten według hasła „Nestor the Chronicler” zamieszczonego w „Encyclopedia of Ukraine” t.III Toronto 1993, s.585 (red. W.Kubijowycz) był znakomitym hagiografem i kronikarzem, nawet świętym w ukraińskim kościele, jednym z najbardziej wykształconych ludzi w Rusi Kijowskiej na przełomie XI i XII wieku. Chyba nie kłamał? Przemyśl wymieniony w kronice Nestora jest dzisiaj najbardziej „lwo-wskim” i niestety najbardziej kresowym miastem południowo-wschodniej Polski. Jest starszy od Lwowa o około 400 lat. Jako gród istniał już w VIII wieku, wspominają o nim geografowie żydowsko-arabscy (Ibrahim Ibn Jakub) i zapiski w źródłach hebrajskich w XI wieku. Ma bogatą historię, posiada prze-

dokończenie na str. 2



Wszystkim Czytelnikom życzymy spokojnych i szczęśliwych Świąt oraz miłych, dobrych chwil w nadchodzącym roku.

W najradośniejsze święto polskiej rodziny — Boże Narodzenie wyciągnijmy ku sobie ręce ponad granicami, bo one nie dzielą narodu ani jego kultury. Niech nasze polskie domy, gdziekolwiek się znajdują będą bezpieczną przystanią dla tych, których kochamy i dla ludzi dobrej woli. Nowy Rok 1995 niech stanie się w Polsce rokiem Sprawiedliwych, dla których dobro jest dobrem, zło zawsze złem a poszanowanie polskiej tradycji niech nie będzie deprecjowane przez tych, którzy się od niej odwrócili. Gloria in excelsis Deo.

Redakcja

dokończenie ze str. 1

Komu pomniki, komu pamięć w „Zakierzonym Kraju”

szo 600 zabytków związanych ze swoimi przeszło tysiącletnimi dziejami. Odkryte na zamku przemyskim przedromańskie fragmenty rotundy i palatium z lat 1018-1031 są pokrewne z palatium Chrobrego na Ostrowie Lednickim koło Gniezna. Ten przemyski zabytek przez pewnego autora został zaliczony do pamiątek i zabytków kultury ukraińskiej w Polsce (zob. książka Andrzeja Saładiaka pod tym tytułem, Warszawa 1993 s.212). Twierdza przemyska należy do trzech największych w Europie obok Antwerpii i Verdun. Z fortu XVI Zniesienie, na którym znajduje się Kopiec Tatarski można podziwiać piękno krajobrazu Przemyśla, jego panoramę i otaczające wzgórza. Nie widać stąd, postawionych z łamaniem obowiązującego prawa, pomników ku czci UPA wzniesionych w ostatnich 2 latach w Monasterzu, Werhracie, Lublińcu Starym i Nowym, Kalnikowie oraz Hruszowicach. W okolicach Monasterza znajdował się bunkier krajowego przewodnika UPA na „Zakierzony Kraj” Jarosława Starucha, aktywnego przedwojennego działacza OUN, który studiował prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Zginął 17.10.1947 roku wysadzając swój bunkier w powietrze.

Najokazalszy pomnik stanął w Hruszowicach gm. Stubno 20 km od Przemyśla. Jest z pięknego piaskowca trembowelskiego w kształcie wysmukłego łuku triumfalnego spiętego u góry tryzubem. Elementy pomnika zostały wykonane we Lwowie i przewiezione przez granicę w Medyce-Szeginiach. Na centralnej tablicy ukraiński napis głosi chwałę bohaterów UPA, bojowników o wolność Ukrainy.

W przeddzień odsłonięcia pomnika odbył się w Przemyśle Zjazd Związku Ukraińskich Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego. Jego przebieg relacjonowało ukraińskie „Nasze Słowo” (nr 43 z 23.10.94) wychodzące w Warszawie i finansowane przez budżet państwa polskiego. Przewodniczący Związku, którego 90% członków wywodzi się z UPA, Józef Myca podkreślił znaczenie tego faktu, że zjazd ten odbywa się nareszcie na rodzonych ukraińskich ziemiach za które walczyli powstańcy UPA, a nie jak w zeszłym roku na obczyźnie w Górach Iłowieckich. Związek skupia się teraz na dbaniu o interesy swoich członków, chce zainteresować swoją działalnością środowiska ukraińskie w Polsce, działać na rzecz budowy pomnika partyzantów UPA i uwieczniać miejsca narodowej pamięci. Na zjeździe

mówcy podkreślali wagę zjazdu który odbywa się właśnie w Przemyśle — bastionie Ukraińców i ich zmagani.

W odsłonięciu pomnika w Hruszowicach oprócz wyżej wym. związku wzięli udział przedstawiciele Bractwa UPA ze Lwowa i Wołynia, Ukraińcy z Przemyśla i okolicznych wsi głównie Chotynia i Kalnikowa. Jak zaznacza autor artykułu w „Naszym Słowie” Bohdan Buk (nr 44 z 30.10.94) poświęcenie pomnika bohaterów UPA na Zakierzoni ma znaczenie dla wszystkich Ukraińców w Polsce bo jest to pomnik wiecznej niezależności Zakierzonia. Z tekstu dowiadujemy się, że propozycję jego postawienia omawiano już w 1992 roku a decyzja zapadła na wyjazdowym posiedzeniu Związku Ukraińskich Więźniów Politycznych w Przemyśle 22.04.1993 roku. Jako miejsce, gdzie miał stanąć, wybrano Hruszowice ale również pod uwagę były brane wieś Chotyniec i Pikulice oraz Przemyśl-Wilcze.

Przemawiając pod pomnikiem Józef Myca powiedział, że do budowy pomnika przyczyniło się kilkuset ludzi w Polsce, Ukrainie i na emigracji a młodzi powstańcy z UPA walczyli przeciw komunizmowi i pacyfikacji ich Zakierzoni. Wystąpił tam również przedstawiciel Bractwa UPA z Wołynia Mełetij Semeniuk. Podkreślił, że rola Zakierzoni uwydatniła się tym bardziej jak przysłały walki na Wołyniu. Zapelował o zakończenie sporów między Polakami a Ukraińcami kwestionując równocześnie liczbę „zaginiętych” Polaków na Wołyniu. Odwrócił proporcje twierdząc, że to właśnie z rąk Polaków w bogatych wsiach wołyńskich ginęło po kilkaset „człowiek” (osób).

Poświęcenia pomnika dokonał ks. młotr Stefan Dziubina, były więzień Jaworzna. W jego przemówieniu, pełnym odniesień do chrześcijańskich przykazań ale z wypomnieniem krzywd ukraińskich od czasów Bohdana Chmielnickiego i nieuzasadnionych zarzutów, że Polacy też masowo zabijali Ukraińców, nie brakoło apelu o pojednanie dwóch narodów.

Streszczenie tych wszystkich wypowiedzi dowodzi jak daleko jest do rzetelnego rozliczenia się tych środowisk ukraińskich, które są związane ideowo i organizacyjnie z byłą UPA, z ludobójstwa na Wołyniu i Kresach Południowo-Wschodnich w czasie i po II wojnie światowej. Nikt, kto jest przy zdrowych zmysłach i normalnym poczuciu sprawiedliwości, nie zniewolonym przez rozrady polityczne, nie podważy rzeczywistości tej zbrodni w następstwie której na „Zakierzoni” miała miejsce akcja Wisła, za którą

zadośćuczynienia moralnego i odszkodowania materialnego domagają się teraz Ukraińcy. Ale co innego przesiedlenia, też dramaty dla wielu a co innego ludobójstwo, które powinno być osądzone bo, nie ulega przedawnieniu.

Postawienie pomnika w Hruszowicach wywołało liczne protesty organizacji społecznych i kombatanckich w Przemyśle. W tej sprawie odbyła się narada z udziałem Wojewody Przemyskiego, Sekretarza Generalnego Rady Ochrony Pamięci, Walk i Zwycięstwa oraz przedstawicieli władz samorządowych. Niezależnie od jednoznacznej wymowy politycznej tego faktu pomnik postawiono łamiąc polskie przepisy prawne. Do Urzędu Rejonowego w Przemyśle po tym fakcie Oddział Wojewódzki Związku Ukraińców w Polsce skierował pismo z prośbą o zalegalizowanie tego obiektu. Ponieważ często w prezentowanych poglądach niektórych przedstawicieli mniejszości ukraińskiej w Polsce białe jest czarne i na odwrót, w liście opublikowanym w „Nowiny” (9.11.94) Zarząd Oddziału tegoż Związku tak sprawę ujął: „Jak nam wiadomo na cmentarzu w Hruszowicach nie stosuje się w ogóle praktyki uzyskiwania zezwoleń jakichkolwiek władz na budowę nagrobków bądź pomników. Mimo to, Związek Ukraińskich Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego zwrócił się do nas z prośbą o podjęcie działań zmierzających do zalegalizowania pomnika poświęconego Ukraińskiej Powstańczej Armii. Ponieważ Związek Ukraińskich Więźniów Politycznych nie posiada oddziału w Przemyśle, przemyski oddział Związku Ukraińców w Polsce podjął się tego zadania, występując z odpowiednim wnioskiem do Kierownika Urzędu Rejonowego w Przemyśle z jednoczesnym powiadomieniem Wójta gminy Stubno. Jesteśmy zdania, że wszelkie poczynania zarówno naszego związku, jak i innych organizacji zrzeszających ukraińską mniejszość narodową w Polsce, powinny być zgodne z obowiązującymi przepisami, dlatego też mamy nadzieję na szybkie zalegalizowanie pomnika.” Komentarz jest chyba zbyt techniczny.

Jak widać na wszystko można sobie pozwolić w „Zakierzonym Kraju” i w III RP, która zbyt gorliwie przestrzega praw mniejszości narodowych u siebie dając natomiast przykład jak nie należy egzekwować ich u naszych wschodnich sąsiadów. Jeżeli ten styl uprawiania polityki na tym odcinku będzie kontynuowany to za jakiś czas stanie pomnik dowódcy UPA na „Zakierzony Kraj” Myrosława Onyszkewycza.

Jest oczywiste, że stosunki z sąsiadami, zwłaszcza z Ukrainą, powinny być dobre ale nie można z tego powodu tolerować windowania na pomniki ludzi mających na sumieniu tysiące cywilnych polskich ofiar zamęczonych na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej.

Danuta Nespiak

W *dzienniku „Rzeczpospolita”* z 25.10.94 r. w artykule pt. *„Zimna wojna nad Adriatykiem”* napisano, że *„tym mianem ochrzciła prasa włoska nagle, gwałtownie pogorszenie stosunków ze Słowenią. Rząd z Lublany, mimo uzgodnień, jakie zapadły na szczeblu ministerialnym, nie zgodził się, by włoscy emigranci mogli odzyskać swe przedwojenne majątki. W odpowiedzi Włochy zapowiedziały, że skorzystają z prawa weta w głosowaniu nad sformalizowaniem Słowenii z Unią Europejską ...”*

O istocie sprawy

ANDRZEJ POLAN

Przed wojną znaczna część Słowenii, przede wszystkim Istria, należała do Włoch. Gdy po zakończeniu wojny te ziemie przypadły Jugosławii, wielu Włochów zdecydowało się na emigrację — najczęściej do pobliskiego Triestu. W Słowenii pozostawili nieruchomości. Władze włoskie uważają, że powinni mieć prawo jeśli nie do zwrotu, to przynajmniej do ich odkupienia. Część włoskiej społeczności pozostała na miejscu. Włochy pamiętają o nich: domagają się, by obywatele słoweńscy pochodzenia włoskiego mogli mieć również obywatelstwo włoskie.”

Z kolei, od dawna wiadomo, że Republika Federalna Niemiec zgłosiła wobec Czech roszczenia odszkodowawcze wynikające z faktu wysiedlenia po wojnie Niemców sudeckich oraz nacjonalizacji ich majątków. Popierani przez rząd przesiedleńcy domagają się zwrotu przejętego mienia, bądź wysokich odszkodowań. W obu przypadkach znamienne jest to, że cywilno-prawne roszczenia przesiedleńców są oficjalnie zgłaszane przez rządy ich państw, przy czym żądanie Włoch jest tak stanowcze, iż jego niespełnienie grozi poważnymi konsekwencjami polityczno-gospodarczymi całemu państwu słoweńskiemu. Powstaje pytanie skąd ta konsekwencja władz i dlaczego zajmują się problemami sprzed 50 lat. Odpowiedź jest łatwa. W tamtych krajach władza pełni rolę służebną wobec swych obywateli i obowiązana jest spełniać ich żądania. Nie do pomyślenia jest sytuacja aby jakiegokolwiek organizacje społeczne grupujące przesiedleńców i prowadzące działalność charytatywną i oświatową były ignorowane przez władze i ośmieszane przez prasę. Przeciwnie, organizacje takie cieszą się poparciem najwyższych czynników a na ich zjazdach występują prezydenci, szefowie rządów i ministrowie. W Polsce jest dokładnie na odwrót. Organizacje zrzeszające przesiedleńców z Kresów są ledwie tolerowane, roszczenia ich członków ignorowane, a od czasu do czasu tzw. poważna prasa oblewa je obficie pomyjami nie pozwalając nawet na wytarcie. Przyczyna tego stanu rzeczy jest nieskomplikowana. Otóż liczne grono czołowych polityków i wspierających ich dziennikarzy, wywodzących się z byłego obozu solidarnościowego a szczególnie z KOR, to duchowi spadkobiercy SDKPiL, Róży Luksemburg et consortes. Sprawy narodowe były i są im całkowicie obojętne jak i to, kto mieszka lub będzie mieszkał w Warszawie, Lwowie, Pary-

żu czy Zürichu. Światopoglądowo indyferentni, niechętni są każdemu kto nawiązuje do wartości patriotyczno-historycznych, niepodległościowych czy, nie daj Boże, chrześcijańskich. Pojęcia ojczyzny lub narodu są im obce. Interesuje ich nie mająca granic Europa ze stolicą w Brukseli — później być może Euroazja — i społeczność bez przeszłości i rodowodu. Kiedyś poglądy swe głęboko skrywali, koniunkturalnie odwołując się do haseł patriotycznych i opieki Kościoła. Teraz, po przejściu władzy i opanowaniu większości ogólnopolskich środków przekazu odrzucili patriotyczno-chrześcijańską maskę, jawnie głosząc antynarodowe i antychrześcijańskie hasła. W okresie międzywojennym — gdyby istnieli — byłiby w społecznej izolacji. Dziś usadowieni we wszystkich władzach, łącznie z najsilniejszą, czwartą: mass-mediami, są niezwykle wpływowi. Do ich grona dołączają także wpływowi i dobrze zorganizowani postkomuniści. Poglądy mają zbliżone do wyżej przedstawionych, z tym że stolicę Europy widzieli by bardziej na wschodzie. Z eurolewicą wiele ich łączy szczególnie w dziedzinie ideologii. Ilustracją niech będzie sprawa konkordatu i traktatów z krajami wschodnimi. Po parafoowaniu projektu konkordatu przez przedstawicieli rządu premier Suchockiej i Stolicy Apostolskiej, eurolewica, w zgodzie z komunistami, rozpoczęła silną i wielomiesięczną kampanię antykonkordatową. Korzystając z prasowego monopolu nie dopuszczono do żadnej wyważonej dyskusji. Zorganizowana naglonka była kopia wcześniejszej o 30 lat list do biskupów niemieckich. W obu wypadkach scenariusz był podobny. Bez znajomości tekstu i bez jego publikacji uderzono w ideowego przeciwnika. Piszemy o tym nie bez kozery. W „wolnej prasie” wylano bowiem morze atramentu dla takiej sprawy jak kwestia pochówku — w świetle konkordatu — zmarłych innowierców na cmentarzach katolickich. Ci sami publicyści i politycy wykazali natomiast zupełny brak zainteresowania traktatem, z Białorusią i Ukrainą, w którym rzekano się prawie połowy terytorium państwa polskiego, rezygnowano z rozliczenia się z zagarniętych dóbr kultury narodowej oraz gwarancji praw dla polskiej mniejszości. Projektów traktatów nigdy nie poddano publicznej debacie, nie pytano o zgodę społeczeństwa i nawet nad nimi nie dyskutowano w Sejmie. Sprawę załatwiło

dwóch panów: minister spraw zagranicznych i prezydent RP. Nieco więcej uwagi poświęcono traktatowi z Litwą ale tylko w wyniku wrzawy wszczynanej przez Litwinów a nie z uwagi na polskie interesy.

Między eurolewicą a komunistami lawirując bezideowcy, łasi na władzę i zaszczyty, chętnie łączący się z ideowymi karierowiczami. Interesują ich wygodne fotele — osadzone możliwie najwyżej — drogie samochody, nieopodatkowane diety, posady w radach nadzorczych, zagraniczne podróże na koszt podatników itp. itd. Konsekwencją tego stanu rzeczy jest nieustanna walka o wpływy posady i materialne dobra a nie troska o poprawę bytu obywateli. W rezultacie rządzący nie zamierzają traktować serio jakiegokolwiek środowisk społecznych czy organizacji, — nawet liczebnie znaczących — jeżeli nie stanowią one dla nich żadnego zagrożenia. Poważnie traktują wyłącznie silnych to znaczy takich którzy mają pieniądze lub dostęp do środków przekazu. Słabym okazują z rzadka łaskawość a najczęściej niechęć. Ekspatrianci z Ziemi Wschodnich i reprezentujące ich organizacje zagrożenia nie stanowią z braku pieniędzy i dostępu do środków przekazu. Dlatego ich roszczenia odszkodowawcze oraz wołania o zwrot dóbr narodowych nie pozostają w zainteresowaniach klasy rządzącej. O roszczeniach tych wspomina się okazjonalnie, z nieukrywaną niechęcią oraz wyraźnym zamiarem przerzucenia ciężaru przyszłych i niepewnych odszkodowań na polskiego podatnika zamiast — wzorem Włoch i Niemiec — na obecnych dysponentów mienia. Przypominamy, że Ukraina, Białoruś i Litwa są państwami korzystającymi z rezultatów układu Ribbentrop-Mołotow. W posiadaniu tych państw jest mienie stanowiące od pokoleń własność Polaków i narodu polskiego. Są tam zagrabione przez Stalina polskie dobra kultury, biblioteki, dzieła sztuki, zakłady przemysłowe, obiekty użyteczności publicznej. Są tam prywatne dobra polskich obywateli, wygnanych, wywiezionych lub zmuszonych do wyjazdu. Należałoby się z tego rozliczyć. Polska w odróżnieniu od Włoch i Niemiec nie spowodowała wojny lecz była jej ofiarą. Dlatego brak jakiegokolwiek inicjatywy władz III RP do wystąpienia wobec wschodnich sąsiadów z konkretnymi roszczeniami jest dowodem złej woli rządzących. Przeszkodą ku temu nie mogą być ani „umowy” PKWN ze Stalinem z 1944 r., dokonane wbrew woli narodu i legalnego rządu RP na uchodźstwie, ani chęć ułożenia dobrych stosunków w przyszłości. Dziwaczna to bowiem sytuacja, w której ewentualne odszkodowania mają wypłacać Polacy sami sobie i z własnych podatków. W takiej sytuacji wydaje się celowe aby osoby, które pozostawiły mienie same zgłaszały swoje pretensje bezpośrednio u miejscowych władz danego państwa a w polskim MSZ znalazły sojusznika a nie przeciwnika. Tak jak to jest u Włochów i Niemców.

Andrzej Polan

Pamiętanie, ale jakie

Widok z okna

JERZY MASIOR

Różne bywają te widoki: przelotne, niezapamiętane — po prostu zbędne. Jednakże zdarzają się i takie, od których przez całe życie odejść nie można. Jest wtedy w nas zapatrzenie, które przywołujemy i przywołujemy. Odbitka na zawsze. Niekiedy bardzo kolorowa.

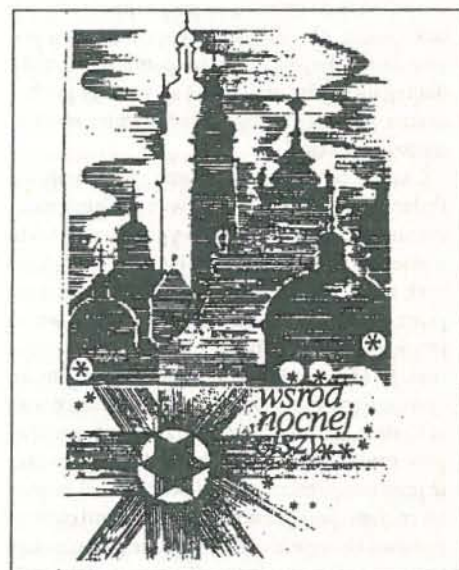
Stoję w otwartym oknie mojego II Gimnazjum na Podwalu. Jest wrześniey, ciepły dzień 1994 roku. Za mną i we mnie szum szkoły, a w dole mroczny tunel Ruskiej — ten zapamiętany od lat widok: szmaragdowe kopuły Wołoskiej z przylutoną strzelistością korniaktowską, zamknięta Rynkiem perspektywa kamienic, bardzo w tym zakątku Lwowa oczadziła upływem czasu. Tego czasu, którego pobłażliwość drażni nas ilekroć powracamy: na dzień, na chwilę, na kolejne przelotne spotkanie z Miastem. Nad dachami, których tu mrowie, obłok Cytadeli i migotliwy w słońcu Jur. Nieomal banalny, lwowski widok. Po tylekroć malowany, fotografowany, opisany, a jednak nieustannie magnetyczny, niezniszczalny. Miałem go przed latami w oknie klasy. Matryce moich źrenic z owych lat nie uległy zniszczeniu. Samoutrwalać i powielanie to były procesy pozwalające na trwanie czegoś, co w miarę upływu czasu stawało się i jest obrazem skończonym, szkaplerzem nieomal. Obraz ten mam oto w dole, u skarpy Wałów Gubernatorskich. Inaczej się dziś nazywają, ale ta nazwa zgrzyta. Kasztany już nawisają złotem i brązem — sypią owoce na szkolne podwórko, tramwaj nadciąga od Rynku, kraśniej po cieniu Ruskiej, zgrzytając jak zwykle w skrócie na Podwalu. To „dwójka”, więc na Łyczaków. Ruch samochodowy spory, wtłacza się hałasem w ciszę lekcji. Kiedyś, kiedyś Podwale było ciche. Było muzyką miasta, a nie jego natrętnym, wielkomiejskim, wszechogarniającym szumem. A może tylko ja tak to odbieram? Drażnią mnie ten ruch i szum, mąci zastały obraz tej malutkiej okolicy, jej świątynne, pradawne zadumanie. Ulicę Ruską, mimo, że to moja gimnazjalna, a więc często wydeptywana ulica — zapamiętałem w mrocznej otoczce tajemniczości. Snuły się tędy jakieś nierozszyfrowywane fluidy, wyciekały z tajemniczych, starożytnie przesklepionych i zagmatwanych sieni. Było obco i nieprzytulnie. Obcość potęgowały kamienice Staupigii, narożnej księgarni w

Rynku i dopływ Blacharskiej z jej starożytną przeszłością i teraźniejszością. Nie wiele z tej otoczki ulicy wówczas rozumiałem i nikt mi w pojmowaniu złożoności tamtego świata, który przecież był — nie pomagał. Jak ćma do światła podążałem więc do blasku Rynku, do jasności Ratusza, do całej tej tętniącej życiem przestrzeni, do rozpraszanej w powietrzu wilgoci fontann, którym wówczas nie brakowało dobrostańskiej. Boże, co za rozrzutność! Jaka obfitość światła, przestrzeni i wilgoci. Dziś stóp Diany, ani Neptuna (!) nie zraszają wiatrem unoszone krople. Moim wrześnieym, młodemu towarzyszom podróży mówię o tamtym minionym świecie, ale widzę w ich oczach beztępość wyobraźni. Tak wiele tu zrobiono, aby uładzony wiekami obraz zatrzeć krechami szowinizmu i wyobcowania.

Pod Wołoską przystanek tramwajowy ludny, choć nijaki. Twarze oczekujących

wypływały trudną tutejszą codziennością, jakby obrócone do wewnątrz, do swoich, wyłącznie swoich spraw. Okno klasy otwarte szeroko. Owiewa mnie ciepło przestrzeni Podwala. Znam tę przestrzeń. Mam uczucie, że ona ode mnie odpływa. Nie wiem, czy chcę ją zatrzymać, zanurzyć się w nią tak jak kiedyś. Pójść po ostatnim dzwonku szkolnym ku Rynkowi, na Wały, pod Sobieskiego. Brak mi przystających u wylotu Ruskiej „jedynki”, „czwórki”. Pod Kopiec, ani do Parku Łyczakowskiego nie pojadę. Tam też zbrazowały kasztany. Jak na szkolnym podwórku. Pod stopami tu i tam całe ich mrowie. Schylam się, podaję ciepłe owoce wczesnej, lwowskiej jesieni przyjaznym dłońmi. Kasztany takie same jak wtedy.

Nowy Sącz, listopad 1994



CICHA NOC

JERZY MASIOR

*Cicha Noc — opłatek — drżenie dłoni.
Barok Marii — Łyczaków ... święty Antoni.
Ostrobramska w obłoku ... park — Pasieki
Biel na wszystko ... na serce ... na powieki ...
Jodła w tęczu, srebro, kutia, Święta.
To wszystko zawsze, wszędzie, by pamiętać ...
Lulajże nam Jezuniu, tam, we Lwowie
My tutaj ... dlaczego ... Ty nam powiedz.
Ty wszędzie — tam, w stajence ...
My żywi ... do Ciebie ... nie w podzięce.*

Nowy Sącz, Boże Narodzenie 1994

Dnia 16.12.1994 r. został podpisany we Lwowie przez delegację polską i przedstawicieli władz miasta urzędowy protokół dotyczący rekonstrukcji Cmentarza Orląt. Jest to oficjalny dokument, pierwszy od 55 lat, o wielkiej wadze historycznej, który otwiera nową kartę w powojennych dziejach barbarzyńsko zniszczonego Cmentarza Orląt.

Delegacji polskiej a zwłaszcza Sekretarzowi Generalnemu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa p. Andrzejowi Przewoźnikowi Zarząd Główny TML i KPW wyraża podziękowanie za trud i starania w tych trudnych negocjacjach, które doprowadziły do podpisania tego dokumentu, wyrażającego zgodę władz miasta na rozpoczęcie przez stronę polską prac rekonstrukcyjnych. Dokument ten przedstawiamy w całości.

Nowe perspektywy dla Cmentarza Obrońców Lwowa

PROTOKÓŁ

ze spotkania w dniu 16.12.1994 r. delegacji polskiej i ukraińskiej dotyczącego spraw związanych z rekonstrukcją Cmentarza Orląt we Lwowie w składzie:

Strona polska:

- Pan Andrzej PRZEWOŹNIK — Sekretarz Generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa;
- Pan doc. dr Ryszard BRYKOWSKI — członek Rady;
- Pan Marek KRAJEWSKI — p.o. Konsula Generalnego KG RP we Lwowie;
- Pan Piotr KONOWROCKI — wicekonsul KG RP we Lwowie,

Strona ukraińska:

- Pan Wołodimir SZWEC — przewodniczący Urzędu Ochrony Środowiska Historycznego we Lwowie;
- Pan Iwan MOHYTYCZ — dyrektor instytutu „Ukrzachid-proektrestawracja”;
- Pan Grygorij ŁUPIJ — dyrektor Muzeum Historyczno-Kulturalnego „Cmentarz Łyczakowski”;
- Pan Taras ŻOŁUBAK — naczelnik wydziału komitetu stosunków międzynarodowych komitetu wykonawczego Rady Obwodowej we Lwowie;
- Pan Wołodimir SKOŁOZDRA — główny plastyk m. Lwowa;
- Pan Jurij POPOWYCZ — autor projektu.

Delegacje obu Stron stojąc na gruncie Umowy o ochronie miejsc pamięci i spoczynku ofiar wojny i represji politycznych podpisanej 21 marca 1994 r. między Rządem Rzeczypospolitej Polskiej oraz Rządem Ukrainy stwierdziły, że Cmentarz Orląt jest składową częścią Cmentarza Łyczakowskiego i wraz z nim uznany został przez władze miejskie Lwowa za rezerwat zabytkowy, w związku z tym winien być odbudowany zgodnie z międzynarodowymi konwencjami konserwatorskimi.

Strona ukraińska przedstawiła ogólną koncepcję rekonstrukcji cmentarza, która została przyjęta za wyjątkiem trzech następujących punktów, jakie będą przedmiotem dalszych obustronnych rozważań. Powyższe dotyczy:

1. Pozostawienia drogi, która odcięła część cmentarza (wynika to z ogólnego projektu przestrzennego zagospodarowania tej części Lwowa);
2. Ekshumacji szczątków znajdujących się w części poza drogą i przeniesienia ich na dwie nowe kwatery urządzone po bokach kaplicy;
3. Pozostawienia kolumnady w obecnym stanie z ekspozycją jej wszystkich zachowanych elementów.

Obie Strony przyjęły:

- Strona polska rozpocznie prace rekonstrukcyjne w obrębie cmentarza na wiosnę 1995 roku, biorąc za podstawę w częściach uzgodnionych stan na rok 1939;
- harmonogram prac oraz inne kwestie techniczne Strony omówią na spotkaniu ekspertów w lutym 1995 r. w Warszawie.

Protokół niniejszy należy traktować jako dokument wyrażający zgodę władz miasta Lwowa na rozpoczęcie przez stronę polską prac rekonstrukcyjnych.

Za uppełnomocnione Strony:

Przewodniczący
delegacji polskiej

Andrzej PRZEWOŹNIK

Przewodniczący delegacji
władz miasta Lwowa

Wołodimir SZWEC

Lwów, dnia 16 grudnia 1994 r.

Po „Burzy” (dokończenie)

Znów we Lwowie

W ostatnich dniach września niespodziewanie dostałem propozycję powtórnego wyjazdu do Lwowa. Jadę z Jerzym Ślaskim (Jerzy Wiatrowski), łącznościowcem, towarzyszy nam jeszcze jeden „chłopak”. W pociągu do Przeworska usadowiamy się w wagonie wojskowym; Jerzy jedzie w mundurze berlingowca, my dwaj udajemy poborowych w drodze do batalionu jarośławskiego.

Przemyśl, znów kłopoty. Przez okno dostraję się do poczekalni wojskowej, gdzie kulę się przy śpiących na podłodze krasnoarmiejcach. Gdy o północy wtoczył się na peron pociąg do Lwowa, wsiedliśmy czym prędzej do wagonu oficerskiego i zabarykadowaliśmy wewnątrz ubikacji, umieściwszy na drzwiach napis że jest ona „isporczona”; drzwi zostały od wewnątrz przyśrubowane do framugi przygotowanymi zawczasu śrubami. Pomieszczenie przez cały czas było szturmowane, wprawdzie przez sprzątaczkę, potem przez pasażerów. W czasie postojów na stacjach, gdy robiło się już jasno, musieliśmy przykucnąć poniżej okna, by nikt nas z zewnątrz nie dojrzał. W końcu Lwów! Odczekaliśmy nieco i wysiadamy. Jerzy, jako żołnierz Berlinga, trochę szarżuje, ale za to z pewnymi minami maszerujemy po ulicach. Znów do domu! (...)

Mogę zasiąść do domowego śniadania, opowiadać o przejściach podczas ostatniej podróży. Dopiero po południu idę na miasto — w porządnym ubraniu, wkładam krawat, kapelusz... Zaczynam roznoszenie przewiezionych listów i oczywiście zachodzę do Basi. Nie zastaję jej jednak, stoi w ogonku za paszportami. (...)

(Przypisek dla czytelników z młodszego pokolenia: Sowiecki „paszport” to był w istocie dowód osobisty. W myśl znanego przysłowia, że człowiek składa się z ciała, duszy i paszportu, każdy miał obowiązek mieć ów „paszport” przy sobie. Do „paszportu” wstawiano tajemnicze cyferki, które przesądzały o pracy, miejscu zamieszkania czy nawet wolności jego posiadacza).

(...) Poniedziałek. Nasz wyjazd odkłada się, dokumenty jeszcze nie sprolongowane. Trzy następne dni: deszczowe i ponure. Papiery wciąż jeszcze nie gotowe, nastroje we

LESZEK SAWICKI („Trajan”)

Lwowie minorowe — wszyscy boją się mającej nastąpić ewakuacji Polaków. Nowa paszportyzacja i nowa rejestracja wojskowa dobijają ludzi. Wiesiek Opalek wyrabia mi nową „kennkartę” z pieczętkami ze Skarżyska — to dla dalszego bytowania na Wesołej, gdzie oficjalnie nie chcemy legitymować się lwowskim pochodzeniem. (...)

Czwartek, 5 października. Decydujemy się na jazdę powrotną. Dokumentów nie ma, postanawiamy jechać „na grandę”, bez niczego. W ostatniej chwili Ojciec znalazł buleleczki z wywabiaczem. Podrabiam dokumenty, zmieniając daty, ale całość wygląda marnie, mogłaby ująć tylko w ostateczności, i to przy niezbyt jasnym świetle.

W pociągu do Przemyśla ładujemy się oczywiście do wagonu wojskowego i od razu układamy na podłodze, w kącie. Ja mam plecak nabit maksymalnie, z dwoma przytroczonymi kocami, chlebem, na sobie dwa płaszcze, a pod pachą pakunek z oponami rowerowymi. Jerzy ma również plecak, a do tego karabin oraz sześć ciężkich pakunków. Jerzy znów jedzie jako berlingowiec, a ja po przerobieniu bluzki baudienstowej (przełożyłem kołnierzyk do jej wnętrza) i naciągnięciu na głowę furażerki, staram się robić wrażenie krasnoarmiejcy. O zmroku pociąg rusza. W wagonie ciemno, śpiewamy piosenki wraz z jakimś Pepiczkiem, żołnierzem czechosłowackiego korpusu, i z dwoma krasnoarmiejcami — Polakami z pod Kamieńca Podolskiego (jeden z nich nawet nazywa się Sikorski).

Pociąg staje w Medyce, stacji granicznej. Jerzy śpi w kącie na podłodze, ja oparłem się na nim, na mnie krasnoarmiejec. W czasie jazdy przypiąłem do furażerki gwiazdę, twarz zasłoniłem kułakiem, bo chyba zbyt europejska, i udaję że śpię. Kontrola: „pogranicznik” ze stajenną latarnią w ręce sprawdza pasażerów i wyłapuje cywilów, na koniec przesuwają migającym światłem latarni po naszej grupce. „Zdieś wsie wojennyje?” Ktoś tam coś mruknął, i żołnierz przeszedł do dalszych współpasażerów. Odetchnęliśmy z ulgą dopiero gdy pociąg ruszył ze stacji. (...)

Pieszko i furmankami dotarliśmy na Wesołą wczesnym popołudniem. Radość z powrotu i przywiezionych listów oraz rzeczy,

rozdzielamy komu co. Jerzy został u nas na noc; przy wesoło buzującym ogniu na kominku długo śpiewamy stare wojskowe i niewojskowe piosenki. (...)

Głodno i chłodno

Niedziela, 8 października. „Głodnawo. Nieudane polowanie z Jaskiem, Tolkkiem, Bolkkiem i Panem Józiem. Posuwamy się luźną tyralierą, w piątkę, szerokim wyrębem leśnym. Gdy pojawił się zając, każdy z nas zaczął strzelać, las napełnił się bitewną kaponadą. Miałem niemiecki karabin i pociski opatrzone kolorowymi znaczkami na spłonce; okazało się, że są to specjalne pociski smugowe dające pirotechniczne efekty: kolorowe smugi wzdłuż toru pocisku. Zając potężnymi skokami umykał z pola ostrzału, i oczywiście uciekł. Pieczeni na obiad nie będzie.

Wracając napotkaliśmy na leśnym dukcie wolno idącego w naszą stronę sowieckiego oficera. Nie było sposobu ominięcia się. Schowaliśmy karabiny za plecy i milcząco przesłisiliśmy obok. Rosjanin udawał, że nas nie spostrzegł, przeszedł dalej swoją drogą.” (...)

Poniedziałek, 9 października. „Dość ładna pogoda. rano na zbiórke, a potem ja z Tolkkiem idziemy na wyręb lasu dla plutonu, a Bolek zostaje na dyżurze. Wobec wieści o mających się odbyć obławach na partyzantów, pakujemy po południu plecaki by być gotowym w razie alarmu, i wybieramy miejsce dla niespodziewanego biwaku w lesie. Podczas obiadu czytamy prasę — upadek Warszawy i „Bora”!

Wtorek, 17 października. „Późnym wieczorem inżynier Opalek zabiera nas wszystkich do gajówki odległej o pół godziny drogi od Wesołej. Ciężka praca przez całą noc: kopimy głębokie piwnice pod podłogą gajówki. Ziemię, a raczej piasek, wynosi się i wywozi daleko od domu i rozsypuje po trochę na leśnej drodze. pomieszczenie jest przeznaczone na zainstalowanie podziemnej drukarni, „zarekwirowanej” niedawno. Wracamy nad ranem.” (...)

Czwartek, 20 października. (...) „Ranne prace — zbieranie ziemniaków z pola i rąbanie drzewa. Przerabianie materiału z II-giej licealnej. Niepokojące wieści: przez sąsiednie powiaty przeszła fala aresztowań, podjętych przez rząd naszej „17. republiki”. (...)

Piątek, 27 października. „Wiatr przyniósł zimno i deszcz. Praca przy młynku zbożowym. Jerzy Ślaski znów przyjechał ze Lwowa, przywiósł nam listy i parę drobniaków oraz nagan Tuli. Pistolety chowamy w ścianie, w szparze między belkami, przyciś-

dokończenie ze str. 6

Po „Burzy” (dokończenie)

nięte słomianym „warkoczem” uszczelniającym ją. Dziś otrzymaliśmy żołąd — nowe, nieco podejrzanie wyglądające „górale” Generalnej Gubernii”.

Sobota, 28 października. (...) „Przy obiedzie czytamy pierwsze odbitki tajnej gazety ze zmontowanego już urządzenia drukarskiego. Jest to czasopismo „Czyn”. Nakład czasopisma jest jeszcze nie rozcięty, leży w wielkich belach.” (...)

Katastrofa

Dzień 29 października był niedzielą, mogliśmy wreszcie odpocząć, gdyż nie było ani raportu, ani prac polowych. Odwiedzili nas lwowscy koledzy kwaterujący w Zmysłówce, Jasiu „Szajba” (J. Hollender), Zbyszek Kuźniak i strzelec „Wrona”. Jasiek Dudryk niedawno opuścił Wesołą, bo powędrował do Przemyśla aby zdawać maturę. Przedpołudnie upływało na lenistwie. Nikt nie przypuszczał, że tego właśnie dnia zawali się nasz świat, świat gościnnej leśniczówki inżyniera Opałka.

Ciężarówka napełniona żołnierzami w zielonych czapkach „prikordonników” podjechała pod bramę obejścia leśnictwa. Zamkniętą bramę żołnierze wyłamali, a ujadającego „Bondasa”, potężnego buldoga Opałków, uśmiercili strzałem z karabinu. Żołnierze, pod komendą kilku oficerów, rozpoczęli rewizję budynku i obejścia.

W tym samym czasie ja z Tulą spokojnie wypoczywaliśmy w naszym domku-suszarni, koledzy wyszli już. Czekaliśmy aby Tolek przyniósł nam obiad z leśniczówki. Tulę, patrząc w okno, powiedział: „O, wreszcie idzie Tolek! Nie, czekaj, to nie Tolek, słuchaj to idący „prikordonnicy”! Drzwi skrzypnęły niemiłosiernie i do izby wkroczyło dziewięciu żołdatów z oficerem o bardzo semickim wyglądzie, wszyscy w dobrze nam znanych zielonych czapkach. „Kto gdzie próżnuje?”

Po kilku pytaniach i odpowiedziach rozpoczęła się rewizja trwająca dobre pół godziny. Żołnierzy dziwiły druty porożnięte pod dachem stryszku (wczorajsze dzieło Jerzego, łącznościowca) — wytłumaczyliśmy, że to do suszenia odzieży. Niczego podejrzanego u nas nie znaleźli, ale po spisaniu protokołu wyprowadzono nas pod

karabinami na leśniczówkę.

Na dziedzińcu stała ciężarówka — „studebacker”, już napełniona siedzącymi na jej podłodze mieszkańcami leśniczówki. Siedzi inżynier Opałek, jego brat Ryszard, szwagier Pan Józio, leśniczy Dziura, wioskowy Zyd Lejba, doprowadzili niebawem złapanych w lesie Jasia „Szajbę”, Kuźniaka i „Wronę”. Tolek i Bolek Opałek, jak się okazało, zobaczywszy wjeżdżających „prikordonników”, zaczęli uciekać przez przyległe pole do lasu, i mimo strzelających do nich żołnierzy — już osiągnęli las. Tu jednak wpadli w ręce zawczasu ustawionej obławy. Dwójkę uciekinierów, powiązanych, doprowadzono wnet do naszego „studebackera” i usadowiono na podłodze.

Pan Józio, siedzący koło mnie, pochylił się i powiedział: „Skończyło się babci s...nie!” Miałem dość długo o to pretensje.

Wśród kobiet mieszkających na leśniczówce wybuchł strach i panika; zobaczywszy wśród dowodzących oficerów polskiego podporucznika, zaczęły się doń zwracać o pomoc i względy dla aresztowanych. Ten jednak nic nie odpowiadał, raz bąknął coś po rosyjsku — niewątpliwie był to przebrany w polski mundur Rosjanin. W leśniczówce znaleziono broń.

W rewizji i aresztowaniu brała udział jedna kompania żołnierzy — „prikordonników”, kilkunastu oficerów sowieckich i dwóch podporuczników w polskich mundurach. Aresztowano, jak się później okazało, wszystkich mężczyzn z leśniczówki oraz 70 innych osób, przebywających w najbliższej okolicy lub idących drogami w stronę leśniczówki.

Gdy samochód napełnił się, przewieziono nas pod strażą do Grodziska i umieszczono w stodole jakiegoś gospodarstwa. Badania rozpoczęto od razu; w ich trakcie dowiedzieliśmy się w końcu, że chodzi tu głównie o wyłapanie członków AK, ale że Rosjanie nie orientują się w miejscowych strukturach, ani nie wiedzą kogo zgarnęli. Niebawem osadzono nas wszystkich w chłopskich izbach kilku gospodarstw, przerobionych a priori na areszty.

Do aresztowanych miejscowych chłopów dopuszczono ich rodziny dla przekazania poleceń; siedzący ze mną gospodarz Kojder kilka razy powtarzał żonie: „Przy-

nieś: buty drewniaki, spodnie skórzaki i czapkę, bo nas na Sybir wywozić będą!” Żona powtarzała: „Buty drewniaki, spodnie skórzaki i czapkę!”. Przez cały dzień, potem następny i następny, leżeliśmy pokotem na słomie; od czasu do czasu ktoś był wzywany na przesłuchanie. Żołnierz przynosił i wydzielał chleb, herbatę i porcyjkę cukru i raz na dzień zupę. W trakcie wyjścia do „ubornoj” udało mi się szczęśliwie zagrzebać pod ścianą domu opaskę, przepustkę dowództwa AK ze Lwowa i część zapisków.

W noc na Wszystkich Świętych — 1 listopada — wyprowadzono aresztowanych grupkami i ustawiono pod zewnętrznym murem kościoła w Grodzisku — twarzą do muru, z rękami do góry. Za naszymi plecami stały samochody ciężarowe, oświetlające nas od tyłu reflektorami. Trwało to długi czas. Pożegnaliśmy się z przyjaciółmi, spodziewając się najgorszego, to jest salwy karabinowej.

Tak się jednak nie stało. Przed świtem załadowano wszystkich na sześć „studebackerów” i po szczelnym zamknięciu bud — przewieziono nas pod strażą uzbrojonych w pepesze i karabiny „prikordonników” do jakiegoś miasta, jak się okazało — wjechaliśmy do budynku dawnego starostwa Rzeszowa. Po rewizji osobistej (odebranie pasków, szelek, szalików itp.) umieszczono nas na sali ogólnej, przerobionej z dawnego pomieszczenia klasztorowego. Pomieszczenie, o pięknych sklepionych łukach, miało wymiary może 5 na 8 metrów, o dwóch oknach, lecz — zabitych deskach „na amen” z wyjątkiem małego okienka w górze. Kazano ułożyć się wszystkim na podłodze. 70 osób leżało w mroku, słabo tylko oświetlonym blaskiem kaganka lub światłem wpadającym przez mały otwór w okiennicy.

Za oknem, na ulicy Trzeciego Maja, toczyło się życie: w szparach okiennic migali cieniami przechodnie, wojsko maszerowało na ćwiczenia śpiewając piosenkę o „Niebieskich oczach twych...”, przejeżdżały jakieś auta. Zapewne mieszkańcy nie przypuszczali, że wewnątrz budynku siedzi kilkudziesięciu (może i kilkuset?) aresztowanych; nas przywieziono i usadowiono tutaj w ciemnościach, gdy miasto spało.

Na szczęście, pierścioneł Basi i pieniądze schowałem do kieszonki od zegarka, którą zaszyłem, inaczej wszystko by to przepadło. Spanie stanowiło istną katuszę: na boku, z podkurczonymi nogami, i w dodatku przerywane co jakiś czas przez żołnierza, wywołującego takie czy inne nazwisko i zabierającego więźnia do przesłuchania.

Leżeliśmy wraz z przyjaciółmi w tej samej

dokończenie na str. 8

dokończenie ze str. 7

Po „Burzy” (dokończenie)

sali, obok siebie. Dawało to możliwość prowadzenia półgłosem rozmów; całymi godzinami ustalaliśmy, jak się tłumaczyć i co mówić, a czego nie mówić na śledztwie. Przyjęliśmy zasadę nie przyznawania się do lwowskiego pochodzenia. Ustaliliśmy, że jesteśmy junakami z Baudienstu — Tolek z Warszawy, a ja i Tula z Krakowa — którzy pracowali przywiezieni tu do robót budowlanych przez Niemców i tak nas zastał front. Te miasta były jeszcze po za linią frontu, więc nie było możliwości sprawdzenia naszych danych. Ponieważ w naszym domku nie znaleziono broni, staraliśmy się wytłumaczyć, że z Armią Krajową nie mieliśmy żadnego kontaktu.

Śledztwo było prowadzone w pojedynkę, bez protokolanta. Oficer zadawał pytania po rosyjsku, ja udawałem że nie za bardzo rozumiem. Następowało dłuższe tłumaczenie, w końcu moja odpowiedź. To dawało mi spory margines dla zastanowienia się. W dodatku „mój” śledczy sam pisał równocześnie protokół. Wpierw na kartce papieru wypisywał kaligraficznie słowo „Wopros” z dwukropkiem, potem formułował pytanie na piśmie, dopiero potem zastanawiał się i pytanie powtarzał w rozwiniętej formie.

Mając dobry wzrok i znając „azbukę”, odczytywałem pytanie jeszcze przed słownym postawieniem go, i już byłem zawczasu przygotowany na odpowiedź. Nie, w „zwo-die” (plutonie) nie byłem, mój rocznik jeszcze nie podlegał służbie wojskowej. O Armii Krajowej nie słyszałem. Broni nie posiadałem. O drukarni nic nie wiem, kole-dzy do niczego nie należeli.

Niestety, nie wszyscy postępowali tak jak ja i przyjaciele. Był Kuźmiak zdając nam relację ze swego śledztwa powiedział: „Wicie, ten śledczy mieszkał we Lwowie, chodził na Żelazną Wodę, znał nawet Zosię. W tym dogadaliśmy się”. To już wróżyło bardzo źle. Ale jeszcze gorzej zapowiadał się los inżyniera Opałka, który odpowiadał za wszystko co na leśniśczołwie znaleziono; do dowodów rzeczowych należała też mała karteczka, którą miał przy sobie, a na której był spisany zestaw broni zabranej nam onegdaj przez „Władysława”. Badania ciągnęły się długo; pewnego razu wróciłem do celi o trzeciej nad ranem.

„5 listopada, w niedzielę, akurat gdy siedziałem w kucki i przygotowywałem miniaturowe karty do bridża z „przeszwar-

owanego” papieru, wszedł do celi żołnierz z listą w rękę i zaczął odczytywać niektóre nazwiska, pytając przy tym o daty urodzenia. „Martuła, Kowalenko, Sawickij, sobie-rajcieś!” Na dziedzińcu wydano nam zebrane rzeczy i dokumenty; mój pakiet był prze-wiązany sznurkiem pod który była zatknęta złożona kartka z moim nazwiskiem na wie-rzchu. Schowałem do kieszeni nie zastanawia-jąc się, zresztą nie było czasu. Załadowano naszą trójkę wraz z kilkunastu innymi are-sztantami na „studebackera”: w kucki na pod-łodze, szeregami, tak aby każdy z nas obejmował nogami swego poprzednika.

Przy burtach stanęli żołnierze z karabi-nami skierowanymi na nas. Spuszczono płó-cienne kłapy nadburcia, samochody ruszyły. Dokąd? Ktoś z siedzących zorientował się, gdy wiatr podwiał kłapę, że jedziemy szosą na wschód, więc w stronę Przemyśla. Czy może dalej? — pomyślał każdy z nas”.

Epilog

„Pomyślnie, a zupełnie nieoczekiwane dla nas zakończenie nastąpiło po dwóch go-dzinach jazdy. Auto wjechało na dziedzi-niec jakichś szeregowych zabudowań i po długich minutach oczekiwania usłyszeliśmy rozkaz „Schaditie!”. Wysiadamy — i pozna-jemy budynki koszarowe 8. batalionu pie-choty Wojska Polskiego w Jarosławiu! Przekazano nas naszemu wojsku, jesteśmy wolni! Chcemy się sobie nawzajem rzucić na szyję, można chodzić, stać, śpiewać — co się komu podoba!

Koledzy z wojska dzielą się z nami chle-bem, dostajemy wojskową kolację, możemy zmyć brud więzienny. Znalazł się wnet i Jurek Ragankiewicz, który mrugnął do nas porozumiewawczo. Samochód z Rosjanami odjechał.

Sięgnąłem do moich dokumentów i przyklepionej kartki. Ku mojemu zdumie-niu po rozwinięciu jej zorientowałem się, że jest to protokół rewizji naszego domku spo-rządzony w dniu aresztowania. Dzięki wido-cznej pomyłce został on wetknięty do moich depozytów. Ponieważ jest to zapewne jedy-ny dokument jaki przetrwał z tej akcji na terenie Rzeszowczyzny, spisany w „Suwe-rennej Polsce” (jak czytaliśmy na transpa-rentach), więc przytaczam go w języku polskim w całości:

„PROTOKÓŁ REWIZJI

Ja, lejtenant Kapłun z jednostki wojsko-wej Nr 92441, w obecności lejtenantu Sko-worodnikowa z jednostki wojskowej 92441 i starszego lejtenantu Szewczenko z jednostki wojskowej 2148 przeprowa-dziliśmy przeszukanie mieszkania obywatela Martuła Jerzy; przy przeszukaniu zaję-liliśmy następujące przedmioty:

- 1) aparat fotograficzny Kodak —1,
- 2) negatywy,
- 3) fotografie,
- 4) Kennkarta —1,
- 5) Zaświadczenie — 1,
- 6) Wypis metrykalny —1,
- 7) Świadectwo szkolne —1,
- 8) Zaświadczenia w języku niemieckim —2.

Zaśwień nie ma.

Przeszukanie przeprowadził:
lejtenant Kapłun /-/,
Podporucznik (tu nieczytelny gryzmoł),
starszy lejtenant Szewczenko /-/,
rewidowany J. Martuła /-/”.

Wraz z kilkunastu kolegami staliśmy się nazajutrz szeregowcami 8. zapasowego batalionu piechoty W.P., „ochotnikami z ostatniej obławy”, jak podobnych nam nazywano. Nasze dzieje w armii Berlinga, to już osobny temat.

Innym aresztowanym lwowskim AK-owcom powiodło się gorzej. Wielu z nich wywieziono do obozów w Rosji. Zbyszek Kuźmiak zmarł w obozie w Borowiczach, Jasiu Hollender po kilku latach obozu wrócił do Polski. Bolek Staniewicz, który tuż przed obławą wyjechał do Lwowa, został tam w listopadzie 1944 roku aresztowany i spędził 5 lat na Workucie. Inżynier Zbigniew Opałek przeszedł szereg więzień i obozów sowieckich; wrócił do kraju scho-rowany, całkowicie pozbawiony zębów. Ca-ły czas jego aktom towarzyszyła doczepiona karteczka ze spisem pistoletów, zapisana moim pismem... Oddziały Armii Krajowej z rejonu Przeworska (działające jako zgrupo-wanie „Warta” pod dowództwem kpt. „Su-limy” — Witolda Szredzkiego) przerwały w jesieni 1944 roku działalność zwartą; Wi-told Szredzki — skazany później w 1947 roku na karę śmierci — został zrehabilito-wany w 1993 roku, „...gdyż działał na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego” — jak orzekł sąd.

Mnie i moim przyjaciółom z lwowskiej „Burzy” udało się lepiej. Może urodziliśmy się pod szczęśliwszą gwiazdą?

Leszek Sawicki

Na skraju Dzikich Pól

Wspomnienia Tadeusza Fabiańskiego

Autor tej pozycji Tadeusz Fabiański był żołnierzem Legionu Wschodniego, a później dziennikarzem lwowskiej rozgłośni Polskiego Radia a w czasie II wojny światowej współpracownikiem Wesolej Fali. *Całość rękopiśmiennej spuścizny Autora została zakupiona przez Bibliotekę Jagiellońską oraz Bibliotekę Ossolineum we Wrocławiu i w takiej formie służy historykom. Niewielkie jej fragmenty ukazały się przed laty w Miesięczniku Literackim (12/1971), a ogólna informacja także w tomie Witolda Szolginia *Na Wesolej Lwowskiej Fali* (Warszawa 1991, s. 72 i 100), który „sporo z tej relacji wykorzystał” we własnej pracy.*

Sama książka Tadeusza Fabiańskiego wydana w Krakowie w 1992 r. doczekała się dotąd w druku jednak tylko dwóch sympatycznych wzmianek, w *Towarzystwie Weteranów* (t. 2 *Alfabetu Lwowskiego*) Jerzego Janickiego oraz na łamach *Semper Fidelis* (nr 3 br.) w kronice *Co słychać w Krakowie* Andrzeja Chłipalskiego. Tymczasem ze względu na ciekawe przeżycia i nietuzinkową osobowość Autora, a zwłaszcza na swoje walory historyczne i literackie *Na skraju Dzikich Pól* zasługuje na osobne omówienie.

Książka składa się z trzech rozdziałów, czy części uzupełnionych wyborem listów z niewoli rosyjskiej w latach 1914–1918. Tom otwierają barwnie napisane wspomnienia z nauki w gimnazjum *W mieście Horzycy*, tj. w Stryju, rozpoczętej w r. 1904, a więc już po ukończeniu tam nauki przez Kornela Makuszyńskiego i Stanisława Wasylewskiego, ale jeszcze za czasów Wilama Horzycy i kolegi Autora, Kazimierza Wierzyńskiego. Poza historykami i historykami literatury, dla których istotna jest warstwa faktograficzna tekstu, ten fragment wspomnień może zainteresować szersze grono czytelników, nie tylko tych związanych ze Stryjem uczuciowo, dzięki znakomitemu odmalowaniu zapomnianych już metod wychowawczych i nie pozbawionej uroku atmosfery panującej wśród uczniów. Atmosfery udokumentowanej np. samorodną twórczością poetycką na temat wagarów: „Kto ich namawiał, by z klasy wychodzić, (kiedy Paczowski będzie do niej wchodzić [...] Szedłem — mówili — bo szła cała klasa) A oprócz tego każdy głośno świadczył, ile od Paczowskiego przezwisk on doświadczył.” Te właśnie cechy, dyscyplina w nauce połączona z niewymuszonym humorem, mogą po części wyjaśnić sukcesy życiowe wielu absolwentów. Jak po latach mówił Wierzyński, „młodzieli miała w takim prowincjonalnym miasteczku, jak Stryj, o wiele więcej sposobności do samodzielnego rozwoju umysłowego, niż w większych miastach, gdzie przeróżne atrakcje przeszkadzają w skupieniu się”.

Po maturze Fabiański rozpoczął w r. 1912

studia prawnicze na Uniwersytecie we Lwowie, przerwane po dwóch latach przez wybuch wojny, walkę w II Brygadzie Legionów i niewolę rosyjską w latach 1914–18. W książce ten niezmiernie ciekawy okres prezentowany jest tylko za pośrednictwem krótkich, ale wzruszających listów, a nie szczegółowych wspomnień, które zasługiwałyby na osobną publikację. Na treść drugiej, najobszerniejszej części prezentowanej książki wydawcy wybrali dopiero wydarzenia z lat 1918–1919, zatytułowane *Na skraju Dzikich Pól*. Po powrocie z niewoli Autor musiał natychmiast uciekać ze Lwowa przed władzami austriackimi na Ukrainę. Tam, w polskim dworze koło Czerkasów, przygotowywał do matury syna właściciela, Eugeniusza Szyszkowskiego.



Fabiański znakomicie odmalowuje natroje wojenne docierające na prowincję, zajętą wówczas przez Niemców. W listopadzie chłopcy rozbroili oddziały okupacyjne, a „kilka dni potem przyjechał do dworu reprezentant nowych władz, powiatowy agronom sowiecki [...] Gdy zebrali się chłopcy, agronom poprosił mnie do sypialni, oznajmił, że majątek przechodzi na własność państwa, a on po rozmowie z byłą właścicielką (tu spojrział na chorą) doszedł do przekonania, że rządcą majątku powinienem zostać ja. Nie dał mi nawet czasu na odpowiedź, lecz wzięwszy mnie pod ramię, wyszedł na ganek, pozdrowił zebranych gospodarzy i wygłosił orację”.

Dalsze losy nowego zarządcy bynajmniej nie układały się gładko w obliczu rekwizycji ze strony władz bolszewickich i zagrożenia ze strony zwolenników Denikina. „Nie bacząc na lufę rewolweru, klapnąłem komisarza przyja-

cielsko po ramieniu ... i zaprosiłem na wódkę, zapewniając, że zaszła jakaś fatalna pomyłka [...] Komisarz zamrugnął oczyma, odetchnął głęboko. — Dziękuję ci, od śmiertelnego grzechu mnieś wybawił — rzekł, kładąc mi rękę na ramieniu — byłbym zastrzelił niewinnego człowieka.” Kulminacją złowrogich wydarzeń następnych miesięcy, które żywo przypominają grozę Dzikich Pól sprzed trzech wieków, było okrutne zamordowanie szwagra właścicieli. Po rozgrabieniu majątku przez chłopów Fabiański musiał opuścić dwór. W pobliskiej zagrodzie Andrzeja Chomutowskiego uczył jego syna matematyki, niemieckiego i ... ukraińskiego. Chomutowski „był to ukraiński patriota, działacz społeczny, w rodzaju naszych TSL-owskich działaczy, wierzących, że oświata ludu dokona cudu”. Po kilku miesiącach dramatycznych wydarzeń związanych z wojną domową i osobistymi niebezpieczeństwami, Autorowi udało się powrócić do Warszawy z Kijowa zajętego właśnie przez polskie oddziały.

Wspomnienia z lat 1918–1919 obejmują więc niezwykle interesujący, a jednocześnie dość rzadko przedstawiany wycinek najnowszej historii. Historii, widzianej oczami polskiego inteligenta umiającego zdobyć zaufanie komunistycznego komisarza i ukraińskiego chłopca i jednocześnie potrafiącego zrozumieć i opisać ich racje.

Trzecia i ostatnia część omawianej książki, zatytułowana *We Lwowie przy ulicy Batorego*, dotyczy pracy w rozgłośni radiowej we Lwowie, a więc tematu opisywanego chętnie przez innych. Rozdział, pełen skrzętego się humoru, ma jednak poważne walory dokumentacyjne i był już wykorzystywany (Szolginia). Wartkim językiem odmalowane zostały pogodna atmosfera pracy całego zespołu kierowanego przez dyrektora Juliusza Petry'ego, w tym działalność *Wesolej Fali*. Oprócz opisów wydarzeń występujących w innych relacjach, napotykamy tu także epizody i anegdoty skądinąd nieznane. „W tajemnicy przed naszym referentem odczytowym i przed rozgłoszonymi Ukraińcami nagrałem po ukraińsku na płytę prelekcję o Grunwaldzie. Udowadniałem w niej, że to nie Polacy lecz Ukraińcy pobili Krzyżaków, a Jagiełło i Witold przybyli na pole bitwy już po wszystkim i skradli im laury zwycięstwa [...] Ukraińcy poznali się jednak na żarcie. Śmiali się ... ale miny mieli jakby zawstydzone”.

W sumie książka składa się jak gdyby z trzech obrazów dotyczących ciekawych wycinków historii najnowszej kresów południowowschodnich, ujętych indywidualnie, ale w perspektywie wydarzeń znanych powszechnie, a więc w sposób interesujący dla szerszego grona czytelników. Umiejętność przedstawienia poglądów i motywów ludzi różnych stanów i różnych narodowości oraz operowanie bogatym językiem nadają publikowanemu fragmentom wspomnień, przesyconym pogodnym humorem i życzliwością, dodatkowych walorów literackich.

Marcin Fabiański

Teatr lwowski za dyrekcji Tadeusza Pawlikowskiego (1900-1906)

MARIOLA SZYDŁOWSKA

W XX wiek lwowska Melpomena wkra-
czała wzbogacona o nową, wspaniałą świąty-
nię sztuki. Decyzja o budowie gmachu
teatralnego zapadła w 1895 roku. Rozpisany
przez Wydział Krajowy konkurs na projekt
wygrał miejscowy architekt wykształcony w
Berlinie — Zygmunt Gorgolewski. Budowę
rozpoczęto w 1897 roku. Nowy budynek, któ-
ry stanął już w trzy lata później, zlokalizowano
na Placu Gołuchowskich, w sąsiedztwie stare-
go gmachu Skarbkwskiego.

Ale nie tylko fakt oddania do użytku bu-
dynku rozpoczął nową erę w historii lwo-
wskiego teatru — ogromne znaczenie miało
powierzenie dyrekcji Tadeuszowi Pawliko-
wskiemu. Dyrektor nie był postacią niezna-
ną w teatralnym świecie, wręcz przeciwnie,
mówiono o nim dużo. Był synem redaktora
demokratycznego dziennika krakowskiego
„Nowa Reforma”. Studiował w Niemczech,
gdzie zdobył gruntowne wykształcenie mu-
zyczne i poznał współczesny teatr zachod-
niej Europy. W latach 1893-1899 był
dyrektorem teatru w Krakowie. Ta dyrekcja
przysporzyła mu sławy, ale również i sporo
wrogów. Z krakowskiego teatru uczynił naj-
lepszą polską scenę przodującą tak pod
względem nowoczesnego repertuaru, jak i
aktorstwa, jednak nie można mu było zapo-
mnąć skandalu obyczajowego — faktu, że
opuścił młodą żonę, a związał się z aktorką,
Konstancją Bednarzewską. We Lwowie zna-
no go z gościnnych, bardzo dobrze przyjętych
przez publiczność i prasę, występów zespołu
krakowskiego w czerwcu 1898 roku.

Przed wyborem nowego dyrektora w pra-
sie lwowskiej rozpuściła się burza. Dotych-
czasowy kierownik sceny, Ludwik Heller
nie zamierzał łatwo rezygnować z dyrektors-
kiego fotela. Miał sporo popleczników,
głównie wśród dziennikarzy prasy konser-
watywnej oraz starszych mieszkańców
Lwowa rozmiłowanych w operetce i frywol-
nych farsach. Pawlikowskiego popierał
marszałek Sejmu Krajowego, Stanisław Ba-
deni oraz postępową część lwowskiego spo-
łeczeństwa.

Rada Miasta powierzyła dyrekcję Pawli-
kowskiemu. Miasto, które było właścicie-
lem budynku teatralnego, na mocy
kontraktu oddawało go w dzierżawę zastrze-
gając sobie stały czynsz i udział w zyskach
(ale nie w deficycie!) oraz kontrolę nad re-
pertuarem i rachunkowością przedsiębior-
stwa. Kontrakt był uciążliwy dla
dzierżawcy. Pawlikowski nie ustrzegł się
problemów znanych wszystkim przedsię-
biorcom teatralnym — kłopotów finanso-
wych. Przez pierwsze trzy sezony miał

nieustanny deficyt, co niezwykle ożywiło
wrogów. Mówiono nawet o jego rezygnacji,
a nieustępliwy Heller znów zaczął myśleć o
dyrekcji. W 1903 roku przejęcie teatrów
krakowskiego i lwowskiego proponowano
Helenie Modrzejewskiej, jednak i te plany
spęły na niczym. Wreszcie zmieniony we
wrześniu 1904 roku kontrakt zmniejszył zo-
bowiązania dyrektora wobec miasta i nieco
ułatwił mu życie. Pawlikowski pozostał na
stanowisku do końca sezonu 1905/1906.

Przed objęciem dyrekcji, w wywiadzie
udzielnym redakcji petersburskiego „Kra-
ju”, Pawlikowski powiedział często potem
cytowane słowa, że prowadząc artystycz-
nym nie powinna być ani ulica, ani dyrektor,
lecz to co niesie życie artystyczne. Opowie-
dział się więc za repertuarem współczes-
nym. Scena zainaugurowała działalność
4.10.1900 roku dziełami polskimi: specja-
lnie napisanym na tę okazję prologiem Jana
Kasprowicza z muzyką Seweryna Bersona
— *Baśń nocy świętojańskiej*, operą Władys-
ława Żeleńskiego *Janek* oraz komedią Ale-
ksandra Fredry *Odludki i poeta*.

Zgodnie z poglądem wyrażonym na łamach „Kraju”, Pawlikowski promował
współczesny dramat polski. Na kierowanej
przez siebie scenie umożliwił debiut takim
autorom jak: Leopold Staff, Zygmunt Ka-
wecki, Juliusz German, Włodzimierz Pe-
rzyński, Tadeusz Rittner, Jerzy Żuławski,
Władysław Orkan. Powierzali mu swoje
utwory czołowi młodopolscy dramaturdzy
— Stanisław Przybyszewski, Gabriela Za-
polska, Lucjan Rydel. Wystawiał również
dzieła Stefana Krzywoszewskiego, Bolesława
Gorczyńskiego, Wilhelma Feldmana,
Tadeusza Konczyńskiego, Stanisława Ros-
sowskiego. Pojawiały się utwory, które
współcześni określili jako „szarpacie ner-
wy”, „bagniska”, „orgie”, „nenufary”, a cały
repertuar ochrzczili mianem „pesymistycz-
no-zmysłowego”. Jednym z głośniejszych
wydarzeń była premiera dramatu Przyby-
szewskiego *Złote runo*. Dzieło wywołało
we Lwowie skandal. Po premierze
(27.03.1901) radny Janowicz zaprotestował
przeciw wystawieniu sztuki i na jego wnio-
sek Rada Miejska zakazała dalszych przed-
stawień. Dopiero cenzor Namiestnictwa
sprzeciwił się tej decyzji i przywrócił sztukę
na scenę.

Niepokojący był natomiast brak sztuki
Wyspiańskiego. Po udanej (według niektó-
rych krytyków lepszej od krakowskiej) in-
scenizacji *Wesela* oraz *Warszawianki*,
Wyspiański nie pojawiał się na afiszu. Paw-
likowski nie doceniał lub nie rozumiał jego

dramaturgii, czasem tłumaczył się brakiem
odpowiednich aktorów. Niewiele pomogła
wystosowana w 1904 roku petycja miesz-
kańców Lwowa domagających się dzieł
współczesnego wieszca. Po niej wystawio-
no jedynie *Legendę*.

Pawlikowski nie zapominał o rodzimej i
obcej klasyce. W repertuarze obecni byli
m.in.: Fredro, Bałucki, Bliziński, Szekspir,
Schiller. Uważany za sympatyka robotni-
czej widowni, często wystawiał też współ-
czesne sztuki o tematyce społecznej m.in.:
Lwią ucztę Karla François Currela, *Barila*
Turasera Philippa Langmanna, *Nadzieję*
Hermana Heijermansa, *Tkaczy* Gerharta
Hauptmanna, *Pawła Langmanna* i *Torę*
Parsberg oraz *Ponad siły* Björnsterne
Björnsona, *Piwowarów* (Lynggard i Spółka)
Hjalmar Bergströma. Utwory tego typu by-
ły surowo traktowane przez cenzurę. I tak
najgłośniejszy utwór sceniczny o tematyce
robotniczej — *Tkacze* — pojawił się we
Lwowie w 1904 roku, dopiero gdy cenzura
wykreśliła te same fragmenty, które zakwe-
stionowano w Wiedniu. Zabroniono krytyki
bogaczy, fabrykantów, sędziów, księży, ko-
misarzy i biurokratów. Wykreślono też
m.in. wzmiankę o rewolucji francuskiej.

Cenzurze należy się trochę uwagi, bo
miała pewien wpływ na to, co można było
usłyszeć ze sceny. Na mocy austriackich
przepisów z 1850 roku egzemplarz każdej
sztuki trafiał najpierw do Dyrekcji Policji, a
później wędrował do Namiestnictwa (czyli
najwyższej władzy rządowej w kraju koron-
nym). Policja kontrolowała też przedstawi-
enie i miała prawo przerwać je w razie
zamieszek na widowni, aresztować lub uka-
rać grzywną aktora wypowiadającego nie
zatwierdzony tekst. Od 1903 roku przy Na-
miestnictwie działał dodatkowy organ —
Cenzuralna Rada Przyboczna rozpatrująca
sztuki, które nie uzyskały akceptacji policji
lub cenzora Namiestnictwa.

Cenzura nie dozwalała na krytykę ustroju
państwa, cesarza i dynastii Habsburgów. Z
szacunku dla cesarza wykreślano z tekstów
nawet słowo „cesarz”. Polecono również
opuścić kilka ustępów ze sztuki Jerzego Żu-
ławskiego *Eros i Psyche*, gdyż dotyczyły
kwestii ustroju monarchicznego. W 1904
roku zakazano nawet wystawienia sztuki
Paula Adolfa Figiel *sobowtóra*, bo miał
antymonarchiczną tendencję. Chroniono też
państwowe instytucje — przede wszystkim
Namiestnictwo, policję, wojsko. Uprzy-
wilejowana była szlachta i arystokracja z
rządzącego ugrupowania stańczyków. W
1901 roku cenzura zakazała wystawienia
sztuki Rossowskiego *Circe*, bo dopatrzyła
się w tekście „jaskrawych ustępów o cha-
akterze społecznym, politycznym, religijnym
i obrażającym moralność publiczną oraz
wykraczających przeciw ustawom kodeksu
karnego”. Raziła ją m.in. niepochlebna cha-
rakterystyka reprezentantów szlachty, stanu

dokończenie ze str. 10

Teatr lwowski za dyrekcji Tadeusza Pawlikowskiego (1900-1906)

urzędniczego i policji. Sztukę Karoliny Słończewskiej *Fabryka krajowa* pozwolono wystawić: „pod warunkiem przerobienia sceny 15 aktu I w ten sposób, aby powaga władzy reprezentowanej przez agenta policyjnego nie była na szwank narażona”.

Zwracano uwagę na wątki polityczne — nie mogło być mowy o interpretacji rozbiórów jako spisku trzech mocarstw. Sprzeciw cenzury budziły wizyjne obrazy odwetu i pomśzczenia krzywd. Drażliwą kwestią była rzeź galicyjska; temat nie mógł pojawić się w utworach przeznaczonych na scenę, a więc z *Wesela* wykreślono znaki o rebelii. Nie można było liczyć na pobłażliwość dla kwestii antypruskich, zwłaszcza kiedy stosunki austriacko-niemieckie były przyjazne. Gdy w 1902 roku Pawlikowski w reakcji na prześladowania dzieci polskich we Wrześni zamierzał wystawić kilka sztuk ukazujących Niemców w niekorzystnym świetle, spotykał się ze zdecydowaną reakcją ze strony cenzury. Wprawdzie wydano zezwolenie dla adaptacji *Krzyżaków* dokonanej przez Adolfa Walewskiego oraz *Na strażnicy* Jana Galasiewicza i *Śpiących rycerzy* Syndona Friedberga — lecz ze skrótami. Z tekstów wykreślono niepocholebne wzmianki o Niemcach, np. „ścierwa”, „śwobi!”, „Niemiec kuternoga”, „nieprzyjaciel naszego plemienia”. Do 1908 roku zabraniano wystawienia *Jęńców* Lucjana Rydla — sztuki z dziejów prześladowań pogańskich plemion słowiańskich przez Germanów. Ingerencje znalazły się w *Betlejem Polskim* Rydla — cenzor polecił, aby postać króla Heroda nie przypominała cesarza niemieckiego oraz skrócił scenę, w której przed oblicze Matki Boskiej zanosila skargi mieszcza z Poznańskiego i grupa wrzesińskich dzieci.

Większą tolerancję okazywano wobec kwestii antyrosyjskich, bowiem stosunki między Austrią a Rosją nie były takie bliskie. Cenzura dozwalała na przedstawianie sztuk o insurekcji kościuszkowskiej, powstaniu listopadowym, styczniowym. Bez przeszkód wydawano zezwolenia dla polskich dramatów romantycznych, a nawet o prześladowaniach rodaków w zaborze rosyjskim. Tak było do 1905 roku, bo po wybuchu rewolucji cenzura znacznie się zastrzyżyła. Zabraniano wystawiania sztuk poruszających aktualne problemy Rosji i Królestwa Polskiego. Odrzucono dramat Konstantego Srokowskiego *Bohaterowie* o przygotowaniach spiskowców do rewolucji oraz prolog dramatyczny Stanisława Brzo-

zowskiego *Warszawa* wzywający do powszechnej walki klasowej i narodowo-wyzwoleńczej. Cenzor twierdził, że w obecnych czasach „podniecenia umysłów”, nie można wystawić sztuk, których akcja przedstawia współczesną działalność rewolucyjną spiskowców dążących do obalenia istniejącego porządku rzeczy.

W zakresie cenzury religijnej też zachowano surowość. Zakazywano wystawiania utworów o tendencjach wolnomyślnych, a także ukazujących duchownych w niekorzystnym świetle. Nie udało się Pawlikowskiemu pokazać *Kłatwy* Wyspiańskiego. Nie mógł przedstawić na scenie świętych, Matki Boskiej i Chrystusa; jeśli już to w sposób zalecony przez cenzurę. I tak np. w *Betlejem Polskim* rolę Maryi grały dwie aktorki. Jedna miała wypowiadać za kulisami słowa modlitwy; druga wykonywać na scenie odpowiednie ruchy. W operetce Henri Herblaya *Gniazdo jaskółek* polecono zastąpić klasztor, w którym rozgrywała się akcja — zakładem świeckim, oraz usunąć z dekoracji wszelkie oznaki religijne.

Cenzura usuwała oskarżenia o wyzyskiwanie najbiedniejszych przez duchowieństwo. Np. z egzemplarza *Piwowarów* Bergströma nakazano opuścić m.in. długi opis wyglądu robotniczego miasta, w środku którego wznosił się okazały kościół i gdzie:

*Przez sześć dni tworzy wojsko kordon (...)
a siódmego wychodzi na kazalnicy ksiądz i
nakazuje posłuszeństwo.*

W sprawach obyczajowych cenzura była mniej konsekwentna. Nie dopuszczała sztuk problemowych, np. mówiących o prostytucji lub nieformalnych związkach w sferach arystokratycznych. Nic dziwnego: były oskarżeniem istniejących układów społecznych. W 1904 roku zakazano wystawienia sztuki Henryka Feigenbauma *Nazajutrz* mówiącej o cudzołóstwie i zabiciu kochanka przez zdradzanego męża. Cenzura miała zastrzeżenia do atmosfery „pełnej moralnej zgnilizny i błota” oraz „chorobliwych namiętności bohaterów”, obawiała się, że sztuka może wywrzeć złe wrażenie na publiczności. Nie okazywano też pobłażliwości wobec dzieł z dawnych epok, cenzura nie rozumiała bowiem rubasznego humoru przodków. Spore kłopoty miała m.in. sztuka Szekspira *Miarka za miarkę* wystawiona podczas gościnnych występów Modrzejewskiej w 1902 roku. Cenzura zezwalała natomiast na wystawianie fars i frywolnych operetek, wymagając od nich moralnego za-

kończenia. Jedyne czasem nie dopuszczała na scenę zbyt rozwiązanych fars, np. *Na kwatery* Antoine’a a Marsa, która przedstawiała perypetie żołnierzy stacjonujących w mieście słynnym z gościnności znanej kokoty i jej podopiecznych. Trzeba jednak podkreślić, że Pawlikowski nie preferował fars. Wystawiał je niechętnie i tylko dlatego, że domagała się ich publiczność przyzwyczajona przez poprzednie dyrekcje do repertuaru rozrywkowego.

Pawlikowskiemu udało się stworzyć wspaniały zespół aktorski. Do Lwowa przyszło za nim wielu artystów występujących za jego dyrekcji w Krakowie. Tu występował najlepszy bodaj aktor młodopolski — Kazimierz Kamiński, karierę zaczynał Karol Adwentowicz, królowała młodopolska muza — Irena Solska oraz jej mąż Ludwik. Rozwinęły się talenty Ferdynanda Feldmana — znakomitego odtwórcy ról Napoleona oraz przedwcześnie zmarłego Władysława Romana. Część aktorów występowała wcześniej na scenie Skarbowski. Józef Chmieliński, Anna Gostyńska, Jan Nowacki, Felicja Stachowicz to dawni ulubieńcy lwowskiej publiczności. Na gościnne występy przyjeżdżali również znani artyści innych scen. Była m.in. Helena Modrzejewska, Wanda Siemaszkowa, Józef Śliwicki, Roman Żelazowski. Pawlikowski wykształcił cały zespół, nadał jednolity charakter grze. Preferował aktorstwo młodopolskie, które charakteryzowały: niedomówienia, deprecjacja słowa, gra niema, emocjonalny stosunek do kreowanej postaci, prezentacja indywidualności ludzkich, podkreślanie przeżycia (a nie gry).

Reżyserią zajmował się sam Pawlikowski, a także Solski, a potem Nowacki. Metody pracy nad sztuką przejęto od twórców zachodnich, głównie reformatorskiego teatru meiningenicyków.

Próby trwały — jak na owe czasy — długo: z reguły dwa tygodnie (*Wesele* — 10 dni). Autor mógł być obecny na próbach i udzielać wskazówek dotyczących interpretacji roli. Do wszystkich scen i ról przywiązywano jednakową wagę. Lekceważone dotąd w teatrach polskich sceny zbiorowe reżyserowano z wielką starannością. Dbano o kostiumy i dekoracje zgodne z prawdą historyczną.

Ataki wrogiej Pawlikowskiemu prasy nie ustawały od pierwszego sezonu. Zarzucano mu wystawianie dzieł niemoralnych, lekceważenie utworów patriotycznych oraz Wyspiańskiego, ale kiedy odszedł, okazało się, że Lwów utracił autentycznego kierownika artystycznego — najbardziej wpływową osobistość nowoczesnego teatru. Niejednokrotnie potem pisano, że Pawlikowski był dyrektorem, który postawił teatr na wyżynie przybytku sztuki, a nie przedsiębiorstwa zarobkowego.

Mariola Szydłowska

Profesor Rudolf Weigl był Polakiem z wyboru

DANUTA NESPIAK

W czasie obrad ogólnopolskiej Sesji Naukowej poświęconej profesorowi Rudolfowi Weiglowi (odbyła się od 14-15 X br. we Wrocławiu) padła znamienna informacja. Studenci medycyny nie wiedzą nic o tym światowej sławy biologu, który był o krok od nagrody Nobla i który w czasie okupacji niemieckiej Lwowa ocalał dziesiątki polskich profesorów, młodzieży akademickiej i licealnej, wśród nich wiele członków AK. Gdyby natomiast zapytać ich kogo i co kojarzą sobie z „Listą Schindlera” sądzę, że odpowiedź byłaby zupełnie wystarczająca, bo młodzi polscy inteligenci wiedzą, kto to był Schindler a zupełnie nie wiedzą kto to był Weigl.

Szczyty ignorancji, jeżeli chodzi o osobę i dzieło Weigla wykazał zresztą poseł Jacek Kuroń, kandydat na prezydenta III RP pisząc: „We Lwowie pracował doktor Weigl Żyd, który produkował szczepionki przeciw tyfusowi. Darowano mu życie na pewien czas” (Wiara i wiara. Do i od komunizmu, Londyn 1989 s.16). Tymczasem Rudolf Weigl był profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, uczonym o światowej randze, Polakiem z wyboru, który przybranej Ojczyzny nie wyparł się nawet w najcięższym czasie okupacji niemieckiej Lwowa. Dla władz PRL-u do swojej śmierci w 1957 roku był „persona non grata”. Przyszedł na świat w rodzinie morawskich Niemców w Prerowie 2.09.1883 roku. Powторne małżeństwo jego matki Elżbiety Krösel (poślubiła Polaka Józefa Trojnarę) związało losy rodziny z Galicją — z Jasłem, Stryjem i Lwowem. Weigl ukończył studia przyrodnicze na Uniwersytecie Lwowskim, tu się doktoryzował i habilitował a następnie jako profesor zwyczajny objął Zakład Biologii Ogólnej na Wydziale Lekarskim tej uczelni. Już przed II wojną światową zaliczał się do światowej czołówki uczonych badających problem tyfusu plamistego, jednej z najgroźniejszych chorób zakaźnych

pochłaniających setki tysięcy ofiar w czasie wojen i klęsk społecznych. Był członkiem polskich i zagranicznych towarzystw naukowych, posiadał najwyższe odznaczenie papieskie Order Rycerski św. Grzegorza Wielkiego za zasługi w zwalczaniu tyfusu na placówkach misyjnych w Chinach, Afryce i Ameryce Łacińskiej. Prace naukowe Weigla i znaczenie jego szczepionki zostały szybko ocenione i wykorzystane przez obu okupantów Lwowa — sowieckiego i niemieckiego. Na wiosnę 1940 roku pracownik Weigla odwiedził Nikita Chruszczow I sekretarz KPZR Ukrainy ale Weigl nie skorzystał z propozycji przyjęcia tytułu akademika i dyrektury Instytutu we Wszechzwiązkowej Akademii Nauk w Moskwie.

Przemilczane a wielkie zasługi położył Rudolf Weigl jako kierownik Instytutu Tyfusowego w czasach hitlerowskiej okupacji Lwowa. Głęboka odraza do przemocy, totalna negacja toczącej wojny nie pozwoliła mu wziąć udziału w uroczystości otwarcia we Lwowie filii Instytutu Behringa przy ul. Zielonej bo miał tego dokonać gubernator Frank, moralny morderca kolegów Weigla, którzy zginęli na Wzgórzach Wuleckich.

Rozciągnięty front wschodni sprzyjał epidemii tyfusu plamistego więc Niemcy żądali coraz większej ilości szczepionki a do jej produkcji trzeba było angażować coraz większą liczbę pracowników. W wyniku tych okoliczności stworzyła się zupełnie wyjątkowa sytuacja. Kierownictwo naukowe oraz angażowanie pracowników pozostawili Niemcy Weiglowi a zatrudnienie w „Institut für Fleckfieber und Virusforschung des Oberkommandos des Heeres Krakau-Lemberg. Dienststelle Lemberg” wypośażało w Ausweis, który zabezpieczał przed łapankami, wywozem na roboty do Niemiec i dawał deputat żywności.

Mając pełną swobodę w przyjmowaniu do Instytutu Weigl zatrudniał pro-

fesorów, docentów, doktorów, młodzież akademicką i tych Polaków, którym ziemia paliła się pod nogami w Krakowie czy w innych miejscowościach Generalnej Guberni. Profesor wiedział, że nieraz angażowanie pracownika stanowiło kamuflaż jego działalności w AK. Wielu oficerów i łączników AK pracowało zwłaszcza w budynku Instytutu, który mieścił się w dawnym gmachu gimnazjum Królowej Jadwigi na ul. Potockiego wśród zatrudnionych tam kamicieli wszy.

Analizując listę pracowników Weigla nie sposób podważyć faktu, że uratował on przed aresztowaniami, łapankami, wywozem na roboty znakomitą część polskiej elity naukowej a także przedstawicieli świata kultury. Wystarczy podać kilka przykładów kto pracował u Weigla. Naukę reprezentowali m.in. Stefan Banach, Józef Chałasiński, Bolesław Jałowcy, Stanisław Hubert, Bronisław Knaster, Seweryn i Helena Krzemieniewscy, Mieczysław Kreutz, Stanisław Kulczyński, Eugeniusz Romer, Kazimierz Szarski, Kazimierz Sembrat, Zdzisław Steusing, a z młodszych, którzy zostali po wojnie profesorami — Andrzej Alexiewicz, Stanisław Baranowski, Bolesław Broś, Tomasz Cieszyński, Artur Hutnikiewicz, Alfred Jahn, Matuszkiewicz Władysław, Andrzej Nespiak, Zbigniew Stuchly, Wacław Szybalski, Stefan Slopek, Marek Zakrzewski Marek, Waldemar Voisé itd. Ze środowiska artystyczno-kulturalnego pracownikami Instytutu w czasie okupacji niemieckiej byli Jerzy Broszkiewicz, Aleksander Frąckiewicz, Zbigniew Herbert, Stanisław Skrowaczewski, Andrzej Szczepkowski, Zbigniew Szymonowicz, Stanisław Teisseyre, Mirosław Żuławski. Konspiracyjne harcerstwo lwowskie miało tu swoich komendantów — Aleksandra Szczęcińskiewicza oraz Zygmunta Kleszczyńskiego. Interesujące jest, że wśród pracowników Instytutu Weigla było trzech przyszłych rektorów Uniwersytetu Wrocławskiego — Kulczyński, Szarski i Jahn. Profesor Alfred Jahn wspomina „U Weigla pracowałem prawie cały Uniwersytet Lwowski. Gdy karmiłem wszy obok mnie siadywał znany lwowski psycholog profesor Kreutz, w pobliżu widziałem sławnego matematyka profesora Banacha” (Z Kleparowa w świat szeroki. Wrocław 1991 s.121).

dokończenie na str. 13

dokończenie ze str. 14

Profesor Rudolf Weigl był Polakiem z wyboru

Przy zwiększonej produkcji szczepionki część jej, mimo kontroli niemieckiej, dostarczana była do leśnych zgrupowań AK, do lwowskiego i warszawskiego getta a nawet do Oświęcimia i Majdanka. Do profesora Ludwika Hirszfelda (był wówczas w getcie warszawskim) na początku 1942 roku przybył z partią szczepionki jeden z najbliższych współpracowników Weigla dr Henryk Mosing, który przemycił ją również do ciężkiego obozu dla Żydów na ul. Janowskiej we Lwowie. Weigl podjął również starania o ratowanie wybitnego bakteriologa, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Filipa Eisenberga proponując mu schronienie u siebie w Instytucie. Był już precedens gdyż Weigl uzyskał we Lwowie zgodę Niemców na zatrudnienie u siebie bakteriologa profesora Henryka Meisla i jego żony, których codziennie przyprowadzali niemieccy strażnicy do pracy. Meisel przeżył a Eisenberg licząc, że się ukryje w Krakowie zginął w 1943 roku.

Dr Mosing ponadto w czasach grożącej epidemii tyfusu plamistego we Lwowie, kiedy szczepionka nie była dostępna kompletnie dla ludności cywilnej zaszczepił dzieci z sierocińca braci Albertynów, alumnów i wykładowców rzymsko-katolickiego seminarium lwowskiego i grupy inteligencji lwowskiej, narażając bardzo siebie i swego szefa.

Na specjalne uznanie i podkreślenie zasługuje postawa Weigla wobec nacisków władz niemieckich. Mimo kuszących propozycji nie podpisał on Reichlisty a na prośbki zastępcy Himmlera generała Katzmanna dał odpowiedź na którą zdobyć się mógł człowiek bardzo odważny, wielki umysłem i sercem. Oświadczył mu, że narodowości wybranej, polskiej w ciężkim okresie wojennym nie zmieni, jego pracownia we Lwowie jest mu droższa niż gdziekolwiek indziej (wabiono go katedrą

uniwersytecką w Berlinie) a w wypadku gdyby wydano rozkaz rozstrzelania go, rodzina i otoczenie święcie czcić będą jego pamięć.

Autentyczny humanizm profesora Rudolfa Weigla, odraza do totalizmów hitlerowskiego i sowieckiego nie ułatwiły mu życia po wojnie w PRL-u. Dla biologa oświatowej sławy zabrakło miejsca w Polskiej Akademii Nauk, są przypuszczenia, że władze PRL zachowały się dwuznacznie kiedy w 1948 roku Weigl miał szansę w otrzymaniu nagrody Nobla. Wielką



krzywdę wyrządzili mu też dwaj koledzy uniwersyteccy z Krakowa oskarżając go o kolaborację.

Inicjatywa zorganizowania we Wrocławiu sesji ku czci tego wybitnego uczonego, Lwowianina i Polaka z wyboru wyszła od Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Zrealizowano ją wspólnymi siłami z Zakładem

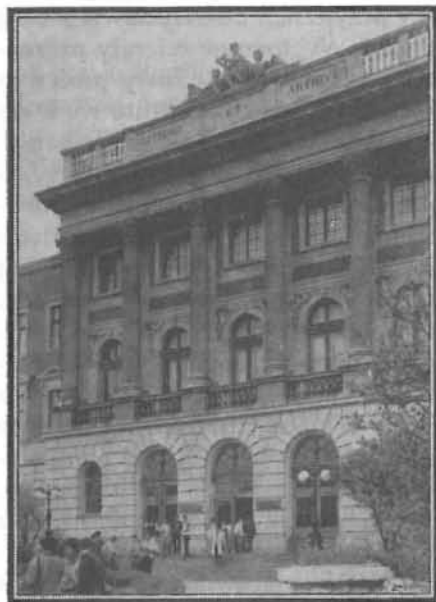
Humanistycznych Nauk Lekarskich Akademii Medycznej we Wrocławiu oraz Muzeum Historycznym miasta. Sesja zgromadziła licznych przedstawicieli środowiska naukowego, rodzinę profesora a także dawnych pracowników Instytutu Weigla, którzy przyjechali do Wrocławia z całej Polski. Wygłoszone referaty prezentowały dorobek naukowy profesora Weigla i rolę jego instytutu we Lwowie w latach 1939-44. Sesji towarzyszyła wystawa na której wyeksponowano archiwalne zdjęcia, dokumenty i elementy wyposażenia lwowskiej pracowni Weigla. Katalog wystawy autorstwa I. Zielińskiej, st. kustosa Muzeum Historycznego zawiera swoistą „listę Weigla” — alfabetyczny spis 500 osób które były pracownikami Instytutu we Lwowie w latach 1939-44. Nie jest to spis kompletny gdyż liczba karmicieli, strzykaczy, preparatorów oraz innych techniczno-laboratoryjnych pracowników oscylowała wokół 4 tysięcy. Potrzebne są dalsze badania by uzupełnić „listę Weigla”. Prosimy o nadsyłanie w tej sprawie informacji, dotyczących zwłaszcza pracowników-członków AK, do Zarządu Głównego TML i KPW we Wrocławiu Rynek-Ratusz 7/9. Po uzupełnieniu lista ta znajdzie się w opublikowanych materiałach z Sesji.

Niestety, jak zawsze gdy chodzi o rzetelnie przedstawiane „tematy Lwowskie” sesja nie została „zauważona” przez centralne mass-media. Króciutki fragmencik, który niewiele informował zamieściły w TV wrocławskie „Fakty”. Dolnośląska edycja Gazety Wyborczej zamieściła tendencyjną informację, że na wystawie jest ponad 180 eksponatów a szczepionka Weigla uchroniła podczas wojny żołnierzy radzieckich i niemieckich przed epidemią duru plamistego.

List w tej sprawie, domagający się sprostowania tej manipulowanej notatki wysłany do red. naczelnego Adama Michnika nie został opublikowany w Gazecie Wyborczej.

Danuta Nespiak

150 rocznica Politechniki Lwowskiej



W tym roku, w listopadzie minęło 150 lat od utworzenia Politechniki Lwowskiej, niezapomnianej polskiej Alma Mater. Była jedną z najstarszych akademickich szkół technicznych w Europie. W czasach niewoli (1844–1914) była jedyną wyższą uczelnią techniczną, gdzie kształciła się młodzież polska ze wszystkich trzech zaborów. 15 listopada 1878 r. nastąpiło uroczyste otwarcie nowego gmachu Politechniki przy ul. Leona Sapiehy 12 połączone z inauguracją roku akademickiego i objęciem stanowiska Rektora przez profesora Juliana Zachariewicza (był projektantem tego gmachu). W czasie walk o Lwów w 1918 roku a następnie w wojnie polsko-bolszewickiej duży był udział studentów Politechniki, co rzutowało na normalny tok studiów. W holu Politechniki znajdowała się tablica pamiątkowa poświęcona pamięci jej studentów, poległych w obronie Lwowa i Ojczyzny w latach 1918–1921. Została ona zniszczona przez nacjonalistów ukraińskich po zajęciu Lwowa przez bolszewików w 1939 r.

Dopiero 10 grudnia 1920 roku odbyła się pierwsza w niepodległej Polsce uro-

MARIA WANKE-JERIE

czysta inauguracja roku akademickiego. Lata do wybuchu II wojny światowej przyniosły Politechnice Lwowskiej dalszy znakomity rozwój naukowy. Ukształtował się tu prężny, reprezentujący wysoki europejski poziom ośrodek naukowy. Wśród kadry profesorów byli wybitni uczeni. Nie sposób ich wszystkich tu wymienić — oto zaledwie kilka przykładów

— Stefan Banach — genialny matematyk, twórca analizy funkcjonalnej i pojęcia „przestrzeni Banacha”

— Kazimierz Bartel — geometria wykreślna, trzykrotny premier II RP

— Włodzimierz Stożek — matematyk, specjalista funkcji zmiennej

— Ignacy Mościcki — chemia fizyczna i elektrochemia techniczna, Prezydent II RP

— Stanisław Ulam — matematyk, członek „Komisji Siedemnastu”, która zbudowała bombę atomową w USA

— Stefan Bryła — twórca pierwszego mostu kratowego

— Edward Sucharda — chemik-organik

— Błażej Roga — specjalista węgla

— Włodzimierz Krukowski — maszyny elektryczne

— Andrzej Jellonek — radiotechnika.

Wśród absolwentów Politechniki byli m.in. generał Władysław Sikorski oraz Eugeniusz Kwiatkowski — twórca i realizator portu gdyńskiego oraz COP-u w II RP.

Po wojnie nastąpił wielki exodus ludności polskiej ze Lwowa na tzw. Ziemię Odzyskaną — głównie na Dolny Śląsk i do Wrocławia. Pracownicy naukowcy i technicy Politechniki Lwowskiej wyjechali w zorganizowanych 4 kolejnych transportach. Część

z nich osiedliła się w Gliwicach, gdzie przystąpiła do organizowania od podstaw Politechniki Śląskiej. Druga duża grupa przyjechała do Wrocławia, w którym część obiektów dawnej politechniki niemieckiej ocalała i gdzie szybko przystąpiono do odbudowy kompleksu gmachów. Tutaj, dnia 15 listopada 1945 roku profesor Lwowskiej Politechniki — specjalista maszyn elektrycznych wygłosił pierwszy wykład dla polskich studentów we Wrocławiu.

Trzeci zespół lwowski dotarł do Gdańska. Tu w zniszczonym mieście zorganizowano na bazie zrujnowanych budynków poniemieckiej politechniki zręby polskiej technicznej uczelni i środowiska naukowego. Nieliczni z zespołu Politechniki Lwowskiej zasili ośrodki akademickie Krakowa, Łodzi i Warszawy. Tradycje tej wspaniałej polskiej uczelni Lwowa żyją więc w politechnikach Gdańska, Gliwic i Wrocławia. Jak napisał mgr inż. arch. Jan Boberski kilkudziesięciu młodszych pracowników naukowych, którzy przybyli do tych miast ze swoimi profesorami osiągnęło w ciągu niewielu lat znaczące sukcesy i stanowiska, tytuły naukowe i liczący się dorobek twórczy. To drugie z kolei pokolenie naukowców, wywodzących się z Politechniki Lwowskiej, obecnie w większości już na emeryturze, było prawdziwymi spadkobiercami i krzewicielami lwowskiej myśli naukowej. Na nich zamyka się ostatecznie okres, w którym znaczenie Politechniki Lwowskiej i jej oddziaływanie na inne ośrodki naukowe kraju były tak znamienne.

Odtąd jest to już tylko historia (Jan Boberski 150-lecie powstania Politechniki Lwowskiej 1844-1994, Katowice-Gliwice 1994 s. 25).

Z okazji Święta Nauki Wrocławskiej w dniu 15 listopada 1994 r. rektor Politechniki Wrocławskiej, prof. dr hab. Andrzej Wiszniewski w swoim przemówieniu uczcił 150. rocznicę Politechniki Lwowskiej.

Tekst tego wystąpienia zamieszczamy na str. 15.

Lwów pokazał na co go stać

PRZEMÓWIENIE NA ŚWIĘCIE UCZELNI, ROK 1994

ANDRZEJ WISZNIEWSKI

Jak co roku, zbieramy się w dniu 15 listopada, aby uczcić kolejną, już 49. rocznicę pierwszego polskiego wykładu w przywróconym Polsce Wrocławiu. Ale dziś chciałbym mówić o rocznicy innego faktu, bez którego Profesor Kazimierz Idaszewski nie mógłby otworzyć historii Politechniki Wrocławskiej. Otóż 150 lat temu, w dniu 4 listopada 1844 roku dokonano uroczystego otwarcia lwowskiej Akademii Technicznej. To była pierwsza prawdziwie wyższa uczelnia techniczna na terenie Zaboru Austriackiego. I choć początkowo niemal wyłącznie austriacka profesura wykładała po niemiecku, choć wśród 200 studentów tylko niespełna połowę stanowili Polacy, to jednak ten właśnie dzień był początkiem istnienia przyszłej Politechniki Lwowskiej. I rzeczywiście. Już w 1870 roku Akademia przyjęła język polski jako wykładowy, personel nauczający rekrutował się niemal wyłącznie z Polaków, a pierwszym wybranym Rektorem był Polak, Prof. Feliks Strzelecki. Zaś w 7 lat później, Akademię Techniczną przemianowano na Szkołę Politechniczną. Uroczystej inauguracji towarzyszył wykład ówczesnego Rektora będącego też projektantem pięknego, stojącego do dziś Gmachu Głównego Politechniki, Prof. Juliana Zachariewicza. Tytuł tego wykładu: *Sztuka na usługach techniki*. Może 51. rok akademicki w Politechnice Wrocławskiej zainaugurować wykładem o tym samym tytule?

Politechnika Lwowska, czy też gwołi ścisłości, Lwowska Szkoła Politechniczna nie była w owym czasie wielką uczelnią. Pod koniec stulecia studiowało w niej 250 studentów, nauczanych przez blisko 60 profesorów, docentów, lektorów i asystentów. Ale już od początku swego istnienia Uczelnia wykazała swą niepokorną duszę. Młodzież masowo angażowała się w ruchy polityczne i działała w organizacjach paramilitarnych. A zignorowanie przez władze Uczelni braku zgody wiedeńskiego Ministerstwa na przyznawanie doktoratów honoris causa było wspaniałym przejawem jakże mi bliskiej postawy: Niech nam stolica nie dyktuje, co mamy robić. Dzięki temu w gronie doktorów honorowych Politechniki Lwowskiej znalazła się Maria Skłodowska-Curie.

Ale prawdziwą wielką klasę pokazała lwowska uczelnia gdy przyszło walczyć o polskość Miasta. Aż 300 osób związanych z Politechniką, czyli blisko 100% społeczności, uczestniczyło w walkach. Niektóre nazwiska z tej listy są nam jakoś dziwnie znajome: Edward Sucharda, Wacław Günther czy Jerzy Ślebocki. Podobnie murem stała Politechnika Lwowska w obronie Polski przed Bolszewikami. Za swe bohaterstwo życiem zapłaciło 49 studentów.

W II Rzeczpospolitej Lwów pokazał na co go stać. Nastąpił niebywały rozwój naukowy Uczelni, ogromne ożywienie aktywności społecznej wśród pracowników i studentów. Takie nazwiska jak Ignacy Mościcki, Kazimierz Bartel, Jerzy Michalski, Jan Łopuszański, Witold Staniewicz czy Maksymilian Matakiewicz były przykładem, że lwowska profesura potrafiła przejmować na swe barki odpowiedzialność za losy państwa, obejmując stanowiska Prezydenta, Premiera czy Ministrów. I jak tu się dziwić, że takie grono pedagogów wychowało wspaniałych absolwentów, do których zaliczali się m.in. Władysław Sikorski, Kazimierz Sosnkowski i Jędrzej Moraczewski. Jak tu się dziwić, że uczelnia lwowska była pierwsza w proteście przeciw kagańcowej ustawie min. Janusza Jędrzejewicza, ustawie dławiącej samorządność akademicką.

Równolegle Uczelnia odnotowywała niebywałe osiągnięcia naukowe, czego szczególnie spektakularnym przykładem była Lwowska Szkoła Matematyczna znacząca takimi nazwiskami jak Stefan Banach, Włodzimierz Stożek, Antoni Łomnicki, czy Kazimierz Kuratowski. Ale nie tylko oni. Czytając składy osobowe wszystkich lwowskich wydziałów ma się przed oczyma szczególnie piękny fragment historii nauki i techniki nie tylko polskiej, ale światowej. I trudno się dziwić, że w nieustannej rywalizacji z Politechniką Warszawską uczelnia Lwowska zwyciężała. Chciałbym, aby ten fakt był także częścią dziedzictwa przejętego przez Politechnikę Wrocławską.

Społeczność Politechniki Lwowskiej pokazała też wielką klasę pod okupacjami, zarówno sowiecką, jak i niemiecką. Obca im była kolaboracja z Sowietami, tak niestety częsta wśród lwowskich intelektualistów.

Prof. Kazimierz Bartel odmówił misji tworzenia quislingowskiego rządu zarówno Moskiewie, jak i Berlinowi, za co zapłacił życiem. A na pierwszej masowej jaką władze sowieckie zorganizowały dla lwowskiej społeczności akademickiej Prof. Stanisław Fryze mówił: *A znaku krzyża nie zdejmujecie z naszych sal wykładowych i pracowni*. Nawet masowe morderstwa, zarówno przeprowadzane przez NKWD jak i przez Gestapo, z których najbardziej ohydny był masową kaźnią upamiętnianą stojącym u wrót naszej uczelni pomnikiem, nie złamały ducha Uczelni. Przez cały czas trwania wojny odbywała się nauka na jawnych, półjawnych i tajnych wykładach. Przez cały ten czas trwała konspiracyjna praca dla sprawy polskiej. I to właśnie na gmachu Politechniki załopotała pierwsza polska flaga 24 lipca 44 roku, po zdobyciu miasta przez AK-owskie oddziały w ramach akcji Burza. Nie wisiła długo. Zerwali ją sowieccy żołdacy, którzy wyzwalali ziemie polskie w sposób nakazany przez Stalina. I to zakończyło nadzieje na odrodzenie Politechniki Lwowskiej. Zastąpił ją Lwowski Politechniczny Instytut. Polska profesura w ogromnej większości wyjechała do Kraju, by utworzyć kadry uczelni technicznych w Gdańsku, Krakowie, Gliwicach i Wrocławiu. We Lwowie zostało tylko kilku wierząc, że wypełniają misję ochrony tego dziedzictwa dla Rzeczpospolitej, która przecież musiała powrócić do miasta, które było jej zawsze wiernie. Po pięćdziesięciu latach pozostało po nich tylko wspomnienie i mogiły na lwowskich cmentarzach. Gmach główny uczelni, ten sam, który zbudował prof. Zachariewicz, stoi w tym samym miejscu i pełni tę samą rolę. Ale już nie jak kiedyś przy ulicy Leona Sapiechy. Dziś jest to ulica Stiepana Bandery.

Politechnikę Wrocławską tworzyli rozbitkowie wojenni z których najwięcej przybyło ze Lwowa. I sądzę, że przenieśli ze sobą wiele tych cech, które z Politechniki Lwowskiej czyniły uczelnię niepospolitą. To dzięki nim, ze zrujnowanej wojną, małej niemieckiej uczelni przekształciliśmy się w jedną z największych i najlepszych politechnik w Polsce. To pewnie ten przeniesiony przez nich duch unosił się w tej auli w roku 68. i 81. To pewnie dzięki nim czytając dzieje lwowskiej Alma Mater dostrzegamy tyle podobieństw do naszej najnowszej historii.

49 lat temu Prof. Kazimierz Idaszewski wygłosił w naszej Uczelni pierwszy wykład akademicki w polskim Wrocławiu. Ale dla Niego to nie był początek dziejów. To była kontynuacja tej misji, której On i Jego lwowscy koledzy zawsze byli wierni. To była kontynuacja misji, której i my powiinniśmy być wierni nie tylko w czasie uroczystości rocznicowych, lecz też w codziennej działalności.

Andrzej Wiszniewski

Jeszcze o gimnazjum im. Kazimierza Jagiellończyka w Kołomyi

RYSZARD BRYKOWSKI

Wszyscy Kołomyjanie bez względu na wiek, płeć oraz bez względu na fakt czy uczęszczali lub nie uczęszczali do kołomyjskiego Państwowego I Gimnazjum wdzięczni są swojemu Krajowi Eugeniuszowi Dmytrowowi za przypomnienie dziejów, murów oraz ducha i grona pedagogicznego tej naszej kołomyjskiej szkoły średniej. Szkoda tylko, że autor podał jedynie ostatnią zwrotkę, a nie cały hymn II Drużyny Harcerzy im. hetmana Stanisława Żółkiewskiego. Miejmy nadzieję, że uczyni to niebawem.

Artykuł jest tym bardziej na czasie, że w 1991 r. opublikowana została rozprawa Macieja Gutowskiego pt. „Architektura szkół średnich w Polsce w okresie zaborów” (Białystok, wydawnictwo tamtejszej politechniki), w której omówiono szeroko w 9 rozdziałach nie tylko podstawowe zasady kształtowania gmachów szkolnych różnych typów oraz ich kompozycję funkcjonalną, poczynając od schyłku Rzeczypospolitej po I wojnę światową, ale również obowiązujące w kolejnych okresach programy szkolne rzutujące na wygląd budynków, zwłaszcza takich pomieszczeń jak aule, kaplice, biblioteki, sale rysunkowe i specjalistyczne oraz na reprezentacyjną oprawę holu, głównej klatki schodowej i głównego korytarza. Niestety w opracowaniu tym pominięto zupełnie kołomyjskie gimnazjum.

„W ostatniej ćwierci XIX wieku — pisze Maciej Gutowski — pojawił się w Galicji typ budynku gimnazjalnego najbardziej dla niej charakterystyczny, który, choć wywodził się bezpośrednio z Wiednia, w swym zasadniczym układzie rzutu podkowy należy do najstarszych, a zarazem najbardziej popularnych w architekturze szkolnej XIX wieku”. Pierwszym budynkiem wzniesionym zgodnie z tym założeniem miał być gmach gimnazjalny w Jarosławiu z lat 1874-1876. Tymczasem opierając się na opisie Eugeniusza Dmytrowa przyjąć należy, że budynek kołomyjskiego gimnazjum został również zbudowany „na rzucie podkowy”. A ponieważ ukończony został przed wrześniem 1875 r. trzeba poprawić Macieja Gutowskiego i palmę pierwszeństwa wśród gimnazjów galicyjskich budowanych według nowego typu przyznać szkole kołomyjskiej a nie jarosławskiej.

Również elewacja frontowa dwupiętrowego gmachu kołomyjskiego gimnazjum otrzymała — powtarzając za Maciejem Gutowskim — typową dla tego okresu „sukienkę neorenesansową”. Była ona bogatsza od szeregu innych, współczesnych jej elewacji szkolnych. Pionowe, w wielkim porządku podziały architektoniczne występują bowiem nie tylko, jak w wielu gimnazjach, w ryzalicy środkowej, lecz rów-

nież w bocznych częściach elewacji, zaś ryzalit zwieńczony został attyką typu balustradowego z dużym kartuszem w części środkowej (niestety, nie jest mi wiadome co na nim było umieszczone). Boniowany parter oddzielony gzymsem od pozostałych kondygnacji podkreślał okazałość i dostojeństwo gmachu podobnie, jak w innych czołowych galicyjskich budynkach szkolnych w Jarosławiu, Bochni, Krakowie czy Lwowie. W dekoracji elewacji dużą rolę odgrywały okazałe półkoliste obramienia otworów wejściowych i okiennych parteru oraz prostokątne, uszate obramienia okien górnych kondygnacji.

Polskość w szkołach galicyjskich, zwłaszcza wznoszonych z budżetów miast, a taką szkołą było gimnazjum kołomyjskie, a więc nie państwowych, przejawiała się nie tylko przez odpowiedni wybór patrona szkoły, ale, jak wspomniano, w dekoracji jej reprezentacyjnych pomieszczeń. Sięgano do repertuaru narodowo-patriotycznego, dokonując wyboru spośród najzaciewniejszych królów i wodzów, uczonych i poetów, dekorując wspomniane pomieszczenia ich stiukowymi, niekiedy sgraffitowymi, często rzeźbionymi popiersiami, a wśród nich patrona szkoły. Do postaci najczęściej występujących należeli: Kazimierz Wielki, Władysław Jagiełło, królowa Jadwiga, Tadeusz Kościuszko, Mikołaj Kopernik, Hugo Kołłątaj, Stanisław Staszic, Jan Kochanowski, Adam Mickiewicz; występowały też osobistości mające charakter bardziej lokalny. W Kołomyi taką „lokalną” postacią mógł być Franciszek Karpiński, a także hetman Jan Tarnowski czy Aleksander Fredro, którego medalion w formie supraporty znajdował się w sali balowo-teatralnej w gmachu Kasy Oszczędności w Kołomyi. O rzeczywistej dekoracji wnętrza gimnazjum kołomyjskiego może zechcą nam napisać jego uczniowie z panem Eugeniuszem Dmytrowem na czele.

A ponieważ nic co kołomyjskie, nasze krajaiskie, siankowskie i polskie nie powinno być zapomniane pozwolę sobie dorzucić dwa uzupełnienia, sądzę że istotne do kalendarium ważniejszych wydarzeń z dziejów gimnazjum w Kołomyi.

W dniach 3 i 4 października 1936 r. odbył się „uroczysty obchód jubileuszowy 75-lecia Państwowego Gimnazjum I im. króla Kazimierza Jagiellończyka w Kołomyi”, jak zapisano na pierwszej stronie „programu uroczystości”, wydrukowanego w kołomyjskiej drukarni A. Kisielewskiego. Komitet obchodów stanowili: Stanisław Boroń, prezes (i dyrektor gimnazjum); Józef Sanojca (burmistrz i poseł); Szczepan Zaczek, I sekretarz; Józef Przygodzki, II sekretarz; Gustaw Bernhaut; ks. Karol

Czerniatowicz; ks. Leopold Dallinger; Henryk Dębski; Aleksander Kurpiak; Gustaw Liebhart; Karol Mahr; Henryk Półtorak; ks. Aleksander Rusin; dr Zygmunt Teicher; Marcin Winnicki; Franciszek Wiśmierski.

Komitet ten zwrócił się z następującym apelem: „Zakład, który w ciągu swego 75-letniego istnienia przygotował dobrze do życia tysiące młodzieży, zasługuje na to, aby jego byli uczniowie wzięli jak najżywszy udział w tej uroczystości, a to, aby złożyć hołd tejże Alma Mater, uczcić pamięć zasłużonych wychowawców i wychowanków, aby nadto odnowić serdeczne węzły, jakie ich łączą z zakładem”.

Program uroczystości przewidywał, że w sobotę 3 października o godzinie 800 rano odbędzie się uroczysta msza żałobna za zmarłych nauczycieli i uczniów w kościele parafialnym. Następnego dnia w niedzielę o godzinie 900 rano odbędzie się „nabożeństwo dziękczynne w Kościele parafialnym, Cerkwi i Synagodze”; o 1000 w budynku szkolnym dokonany zostanie wpis do księgi pamiątkowej, zaś o godzinie 1100 „na odgłos dzwonka wymarsz na rynek i złożenie wieńców na grobie Nieznanego Żołnierza i u stóp pomnika Pierwszego Marszałka Polski”. Następnie o godzinie 1200 odbyła się „w sali Miejskiej Komunalnej Kasy Oszczędności” uroczysta akademicka. Rozpoczęła ją Chór byłych wychowanków odśpiewaniem „Gaude Mater Polonia”. Po przemówieniach „powitalnych i reprezentacyjnych” Chór uczniów Gimnazjum I (polskiego) wykonał utwór Żukowskiego „Wyleć Orle”, a Chór uczniów Gimnazjum II (ukraińskiego) „Uroczystą kantatę” Ludkewycza. W kolejnym punkcie programu przedstawiono „Rys dziejów Zakładu”, po którym przemawiali kolejno: „były uczeń Polak”, „były uczeń Ukrainiec” i aktualny uczeń Zakładu. Wspólna orkiestra uczniów Gimnazjum I i II wykonała „święteczną uwerturę” autorstwa Keler Bela. Uroczystość zakończył wspólny obiad o godzinie 1400-tej.

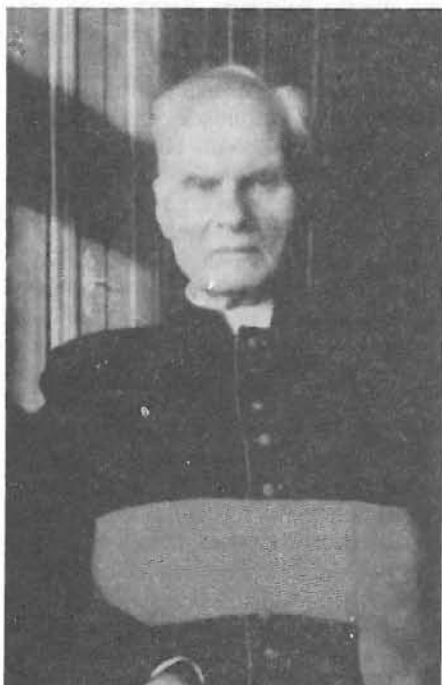
Odnosić też wypada jedno z ostatnich wydarzeń jakie rozegrało się w murach kołomyjskiego gimnazjum. Tutaj w dniach 16-17 września 1939 r. zatrzymał się Sztab Naczelny Wodza Wojsk Polskich z Marszałkiem Edwardem Rydzem-Śmigłym. Tutaj, w gmachu kołomyjskiego gimnazjum w dniu 17 września 1939 r., w tzw. „czarną niedzielę”, gdy płonął Zamek Królewski w Warszawie, a wojska bolszewickie weszły w granice Polski z „bratnią pomocą” niemieckim najeźdźcom, odbyła się w godzinach wieczornych ostatnia odprawa wojskowa. Stąd przekazano rozkaz kontynuowania walki i przechodzenia wojsk, które będą mogły, na Węgry i do Rumunii.

Pozostali zaś w Kołomyi i rozproszeni po Kraju i po świecie wychowankowie i nauczyciele kołomyjskiego gimnazjum podjęli walkę o „Tę, co nie zginęła”!

„*SALUS REI PUBLICAE SUPREMA LEX ESTO* — było nie na darmo maksymą kołomyjskiej średniej szkoły — Państwowego Gimnazjum I im. króla Kazimierza Jagiellończyka w Kołomyi.

Kresowi kapłani

Moje wspomnienia o księdzu dr. Romanie Dacy



Roman Dacy

Ks. dr prałat Roman Dacy
b. proboszcz parafii rzym. katol. obrz. łac.
w Nowosielcach-Zurawno k. Chodorowa,
pow. Bóbrka, woj. lwowski

W czerwcu 1985 roku ksiądz dr Roman Dacy powiedział w swojej homilii „dwa razy dała mi życie”. Były to słowa poświęcone pamięci jego matki, która swoją śmiercią ocalała życie syna. Homilię tę wygłosił wówczas z okazji naszego VII już Zjazdu Tłumaczan, który wtedy odbył się w Karpaczu.

Urodził się w Kopyczyńcach, pow. Husiatyn woj. tarnopolskie 23.02.1905 r., ale swoje dzieciństwo i młodość spędził w kresowym miasteczku Tłumaczu, gdzie zamieszkali jego rodzice i czworo jego rodzeństwa. Jako uczeń wstąpił w szeregi Polskiej Organizacji Wojskowej i w 1920 roku pełnił ochotniczo służbę wojskową w Obywatelskiej Straży strzegącej bezpieczeństwa mienia ludności. W 1927 roku zdał maturę w tłumackim gimnazjum i po odbyciu służby wojskowej w Szkole Podchorążych Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim oraz w 11 Pułku Artylerii Polowej w Stanisławowie, podjął studia teologiczne we Lwowie

DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ

na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Po uzyskaniu dyplomu magistra teologii za pracę „Idea katolicka u św. Pawła” otrzymał święcenia kapłańskie 18.06.1933 roku z rąk metropolity lwowskiego arcybiskupa Bolesława Twardowskiego. Miał szczęście do dobrych nauczycieli kapłanów. Rektorem seminarium był późniejszy biskup tarnowski ks. Franciszek Lisowski, a wice-rektorem późniejszy arcybiskup — metropolita lwowski ks. Eugeniusz Baziak (który musiał opuścić Lwów w kwietniu 1946 r.). Ksiądz Dacy zdażył jeszcze na początku września 1939 roku obronić z wyróżnieniem swoją dysertację doktorską p.t. „Nadania i świadczenia polskie na rzecz Kościoła ruskiego na Ziemi Czerwieńskiej”, której promotorem był prof. dr Jerzy Kuryłowicz, a promocję doktorską otrzymał z rąk prof. dr. Edmunda Bulandy.

Rodzina księdza Dacy i moja były zaprzyjaźnione. Jego ojciec Wojciech Dacy był urzędnikiem skarbowym w Tłumaczu. Mój dziadek Jan Tabiński był urzędnikiem skarbowym jeszcze za czasów CK Austrii, jak również ojciec mój Jan Tabiński-junior, który był kolegą gimnazjalnym księdza Dacy. Na wszystkie wakacje i święta, kiedy przyjeżdżał ksiądz Dacy, wówczas student ze Lwowa, odwiedzał również w Żywaczowie dom rodzinny mego ojca.



Na fot. trzeci od lewej ks. Roman Dacy; drugi od prawej Jan Tabiński — dziadek autorki wspomnień; klerycy i dwie ciotce Tabińskie

Spotkanie w Karpaczu po 50 latach księdza Romana z byłymi mieszkańcami Tłumacza było dla wszystkich bardzo wzruszającym przeżyciem. Szczególnie dużo do powiedzenia mieli sobie koledzy z ławy szkolnej tj. ksiądz i mój ojciec. Znalazła się nawet w na-

dokończenie na str. 18

IMPRESJE ŁYCZAKOWSKIE

JAN SKŁODOWSKI

*trochę tu nieswojo
wiem dlaczego
ja swój nie u siebie
choć drzewa ukradkiem te same
co przed trzydziestym dziewiątym
i listopada takie same
jak w osiemnastym*

*tam stoi w ordynku
czas przeszły dokonany
na straży jego Wizunas skamieniał
to nie szkodzi
tak nawet lepiej*

*Goszczyński posępny
czym ma się radować
kwiaty u Grottgera
jak zwykle
a Konopnicka też ziemi nie rzuciła
i chyba trochę uśmiechnięta
jest dzisiaj
w dziewięćdziesiątym trzecim
to nie szkodzi na pewno*

*ówdzie krzyże krzyżem leżą
pacierze zarzewiałe szepczą
słowem spróchniałym*

*gdzieś między nagrobkami
Jurek Bitschan prosi mamę
by oczy otarła*

*tam znów liść złoty upadł
karta do księgi już skończonej
jeszcze nie dokończona
kto ją składać będzie*

*czy biedy ojczyste co suną
pod murem
i pod strachem
z wiecznym odpoczywaniem
by Pan je dać raczył
ze zdrowąską za pazuchą
z przedwojennym westchnieniem
okutanym w pamięć odmrożoną
w tajdze chłodno bywało*

*już Orłąt ciszę słysząc
wyżej gdzieś przysiadły
ze skrzydłem przetrąconym
gdy czołgi ziemię gniotły
w siedemdziesiątym pierwszym*

*czekamy aż na dół zejda
czekamy aż krzyżami wszystkie
znów pofruną
czekamy aż
czekamy*

Lwów, 1 listopada 1993 r.

dokończenie ze str. 17

Moje wspomnienia o księdzu dr. Romanie Dacy

szym albumie rodzinnym przedwojenna fotografia. Zrobiono ją w ogrodzie w Żywaczowie, po uroczystym obiedzie, który dziadkowie Tabińscy wydali po Mszy św. prymicyjnej, odprawionej w Kościele Żywaczowskim właśnie przez księdza Dacę. W Karpaczu obaj z ojcem wspominali dawne przedwojenne czasy oraz własną służbę Ojczyźnie w czasie wojny. Mój ojciec walczył m.in. pod Narwikiem a ks. pułkownik dr Roman Dacę, pseudonim w AK „Longin” był znakomitym organizatorem samoobrony polskiej przed eksterminacją niemiecką i UPA. Jego działalność przyczyniła się do ocalenia Polaków w kilkunastu miejscowościach kresowych, które stały się silnymi ośrodkami oporu. Były to wsie w powiecie Rohatyn-Nowosielce, Podkamień, Nowa Grobla, Strzelce Stare z Henrykówką, Zagórze, Kniesowo, Gruszkowce, Rzędowice Rejówka. Ksiądz sam dawał przykład odwagi, męstwa i poświęcenia. Na plebanii w Nowosielcach, gdzie był proboszczem, ukrywał żydowską rodzinę, pomagał również partyzantom radzieckim. Od UPA otrzymał 5 wyroków śmierci, lecz Opatrzność czuwała i w ciężkich chwilach pomoc okazali mu życzliwi Ukraińcy.

Najtragiczniejsze chwile swego życia przeżył we wrześniu 1943 roku w czasie napadu UPA na swoją plebanie w Nowosielcach. Matka zdążyła wepchnąć go do schronu, który był wykopany pod podłogą jego pokoju. Tam leżąc przeżył straszne chwile rozpacz, plebanie demolowano, szukając księdza a pobita matka z uporem twierdziła że syna nie ma. Odgłosy brutalnej napaści, strzały i jęki ofiar sprawiły, że stracił przytomność. Dopiero nad ranem stajenny Fiedia Kostyszyn Ukrainiec, też pobity tej tragicznej nocy przez banderowców wyciągnął księdza z kryjówki ze słowami „ja jegomości nie wydał” i przynaglał do natychmiastowej ucieczki — „bo oni obiecali, że wrócą jeszcze”. W kompletnie zrujnowanej plebanii, w pokoju gdzie na podłodze leżały połamane meble, szkło i rozwleczona pościel porzucone były zwłoki jego matki Heleny Dacowej i wiernej gospodyni Anieli Starzewskiej. Ksiądz ucałował przestrzeloną głowę matki i ponaglany przez Fiedię, tak jak stał boso w białej uciekł prze pola do rodziny swego parafianina Polaka Adama Burdzego, mieszkającego na kolonii obok stacji kolejowej Nowosielce-Żurawno, pow. Rohatyn, woj. stanisławowskie. Stąd przez posterunki banderowskie udało się księdza, ukrytego w sposób przemyślny wywieźć w furmance. Owinięto go mianowicie całą słomą, związano powrozami,

nakryto szczelnie derką, jednym słowem zrobiono z niego siedzenie dla woźnicy. Tak dojechano z księdzem do polskiej wsi — Łukowca Wiszniewskiego w pow. rohatyńskim. Tutaj było już bezpiecznie, działała AK a dowódcą Samoobrony był Edward Polak. I wtedy ksiądz Dacę rozchorował się poważnie. Pokaleczone ziemią i szkłem nogi spuchły i zsiniały a lekarza we wsi nie było. Uratowała go przed zakażeniem krwi medycyna ludowa, troskliwe wiejskie kobiety zastosowały gorące kąpiele z wiadomych tylko sobie leczniczych ziół i pomogło. Pod ochroną żołnierzy AK, lasami przedostał się ksiądz Roman na stację kolejową Bartniki i dojechał szczęśliwie do Lwowa. Tutaj pełnił obowiązki wikarego (do 1946 roku) w parafii św. Mikołaja. Brał również udział w tajnym nauczaniu młodzieży.

Bardzo interesującą wiadomość usłyszeliśmy od księdza Dacy wtedy w Karpaczu. Jego dyplom doktorski, który pozostał w zrujnowanej plebanii w Nowosielcach, został mu przysłany przez anonimowego nadawcę do Krakowa, gdzie się osiedlił potem na stałe.

Rozmowy z nim były zawsze bardzo interesujące. Pamiętam jego wysoką sylwetkę, oczy z których emanowała wielka życzliwość do otaczającego świata, uśmiech na twarzy ...

Od połowy 1946 roku związany był swoją posługą kapłańską z achidieczją krako-

wską. Był wizytatorem religii, kierował duszpasterstwem nauczycieli współpracując z mgr Zofią Rymanówną i ks. Józefem Tischnerem, duszpasterzował przy kościele Sióstr Wizytek i św. Salwatora w Krakowie.

Ks. pułkownik, prałat dr Roman Dacę był żołnierzem AK III Obszaru Lwowskiego. Odznaczony był Krzyżem Virtuti Militari V klasy, dwukrotnie Krzyżem Walecznych, Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Niepodległości, czterokrotnie Medalem Wojska Polskiego, Krzyżem AK oraz Krzyżem II Obrony Lwowa rozpoczętej w 1939 roku.

W połowie lipca br. zaprosiliśmy księdza Romana na naszą tłumacką uroczystość — powtórnego poświęcenia obrazu św. Anny Samotrzeciej, szczęśliwie ocalonego i przywiezionego z Tłumacza, gdzie niegdyś był w głównym ołtarzu nieistniejącego już dzisiaj Kościoła. Była u niego wówczas nasza koleżanka Czesława Kałuża i ksiądz ucieszył się bardzo i przekazał dla Tłumacza obrazki z okazji sześćdziesięciolecia swoich święceń kapłańskich we Lwowie.

Na uroczystość do Siedlakowic koło Wrocławia nie przyjechał, bo był już w szpitalu. Zmarł 18.09.br. w Krakowie. Jego pogrzeb na Cmentarzu Salwatorskim zgromadził tłumy. Wielkiego Kapłana i Polaka żegnało duchowieństwo, homilię w czasie żałobnej Mszy św. wygłosił ks. prof. Józef Tischner, w kondukcie uczestniczył metropolita krakowski ks. kardynał J. Macharski. Osiem pocztów sztandarowych AK-owskich, wojskowych, harcerskich towarzyszyło mu w ostatniej drodze.

W głębokim żalu kresowianie mówią „Cześć Jego pamięci”.



Na fot. ks. Roman Dacę na Zjeździe Tłumaczan w Karpaczu 6 czerwca 1985 r.

Wołyński rodowód parafii Minkowice Oławskie koło Wrocławia (dokończenie)

KS. JAN KURDYBELSKI

II Spotkanie z Polską. „W roku 1919 widziałem pierwszego żołnierza polskiego — wspomina Aleksander Tyszecki. Bawiliśmy się na pastwisku. Było lato, lipiec lub sierpień. Do Budek Snowidowickich nadeszła „Pierwsza patrol polska”. Szedł jeden żołnierz, zbliżał się do nas i pozdrowił nas po polsku: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. To były pierwsze jego słowa. Odpowiedzieliśmy: Na wieki wieków amen, i w ten sposób żołnierz poznał, że trafił do polskiej wsi. Za chwilę nadjechało na koniach kilku ułanów. Dotarli do Olewska i tam pozostali przez jesień i zimę nad rzeką Ubroć. W Budkach stała „ciężka artyleria”, trzy działa i 10-ty pułk piechoty. Wiosną 1920 roku wyruszyli na Kijów. Pod koniec czerwca uciekali spod Kijowa, gonili ich bolszewicy. We wrześniu, z końcem miesiąca uciekali bolszewicy, a pędzili ich znowu Polacy i dotarli do Olewska. Po zawarciu rozejmu Polacy wycofali się nad rzekę Lwa, a Rosjanie stali nad Uborcią. Mieli zachować 40 km szeroki pas neutralny. My znaleźliśmy się w pasie neutralnym. Skoro jednak Polacy wycofali się nad rzekę Lwa, w kilka tygodni później Rosjanie zaczęli zajmować pas neutralny. Zajęli Rokitno i pozakładali tam swoje urzędy. Rozpoczęli zaciąganie podatków i pobór do wojska. Wtedy doszło do bitwy o Rokitno — wiosną 1922 roku. Rosjanie zostali wyparci z Rokitna. Jesienią 1922 roku była wytyczana granica. Budki Snowidowickie znalazły się po stronie rosyjskiej. Wówczas mieszkańcy Budek za pośrednictwem kapitana Wojska Polskiego stacjonującego w Snowidowiczach przestali siedem petycji do Komisji Polsko-Radzieckiej w Łachwie. Na skutek tej interwencji Komisja dokonała poprawek. Granicę cofnięto poza Budki, a za to Polacy oddali Sowiетom wieś ukraińską Woniacze w powiecie Kostopol.

Okres polski na tym kawałku ziemi kresowej powiatu sarnieńskiego był bardzo krótki. Za ledwie siedemnaście lat upłynęło od wytyczania granicy w roku 1922 do wkroczenia Sowiетów we wrześniu 1939 r. W ciągu tych siedemnastu lat dosłownie odmieniło się „oblicze ziemi”. Wolność nie tylko zmienia ludzi. W wolnym kraju cała przyroda żyje inaczej, inaczej zielenią się drzewa. Ludzie budowali nowe kościoły, szkoły, drogi, mosty. Powstawały małe co prawda zakłady pracy — ale likwidowały

bezrobocie i zacołanie. W latach trzydziestych znikły łuczywa, długie wieczory zimowe rozjaśniła lampa naftowa. O połowę zmniejszyła się liczba analfabetów. Do wsi docierały wiadomości ze świata, zjawiała się gazeta. Te zmiany cywilizacyjne chociaż przychodziły przez polskie ręce, nie naruszały współżycia Polaków z Ukraińcami. Mieszkańcy Okopów, Aleksandrówki, Staryków, Borowiny i Budek Snowidowickich zgodnie poświadczają, że współżycie z Ukraińcami było dobre. „Kiedy szliśmy do kościoła w niedzielę czy święta, Ukraińcy w Masewiczach pozdrawiali nas. Na Wielkanoc wszyscyśmy się wzajemnie pozdrawiali „Chrystos woskres”. Nikt nie przeszedł obok drugiego człowieka milcząc. Gościli się nawzajem np. kiedy Święta Wielkanocne wypadły nam razem — wielu Minkowiczów to poświadczają — był zwyczaj, że bawiliśmy się w bitki jajkami. Jajka były gotowane na twardo, w cebuli na brązowo, lub w runie z nowego żyta na zielono. Stukaliśmy się ugotowanymi jajkami i czyje pękło, musiał je oddać zwycięzcy. I w tamtych czasach choroby i nieszczęścia nie omijały wsi polskiej ani ukraińskiej. Do lekarza jednak nikt nie jeździł. Leczeniem trudnili się zielarze. Najczęściej jednak ludzie pomagali sobie przez „zamawianie”. Czasami — jak twierdzą — nawet to skutkowało. Na przykład nikt nie umarł od ukąszenia żmiji, chociaż takie przypadki zdarzały się dosyć często.

Szczególną okazją do nawiązywania bliższych stosunków między Polakami i Ukraińcami były małżeństwa mieszane i wesela. Na uroczystości weselne zapraszano się nawzajem po sąsiedzku, a więc i w przypadkach gdy nie wchodziło w powinowactwa przez małżeństwo. Porządek weselny był jeden, ukształtowany w wielowiekowej tradycji, przestrzegany zarówno przez Polaków jak i Ukraińców. Wesela trwały dwa dni. Zazwyczaj panna młoda po ślubie przechodziła do domu pana młodego, więc uroczystość weselna rozpoczynała się w domu panny młodej. W sobotę wieczorem wyruszała drużyna pana młodego na furmankach przystrojonych, a musiało ich być przynajmniej pięć, do domu panny młodej. Przez całą drogę kobiety śpiewały przeważnie ukraińskie przyśpiewki. Np. przy wyjeździe z domu narzeczonego śpiewały:

*Zabijmy się, da nechjmosię, bo wże świt.
Da zajechać na korolowszczyźnie na obied.*

W wolnym przekładzie oznacza to: zabierajmy się i nie spóźniajmy się bo już dzień; by zajechać do królowej na obiad. Przy spotkaniu z panną młodą,

jak druchny witały orszak pana młodego śpiewem:

*Oj czecho wy pryjechały, my was tutaj
nie potrzebowaly,*

*Czy po horoch, czy po seczewiciu,
czy po dziwku, czy po mołodyciu.*

(czy po groch, czy po soczewicę, czy po pannę czy mężatkę). Drużbowie odśpiewali:

*My horoch pomolatymo, seczewiciu koń-
my spasemo*

i mołodu z soboj woźmiemu.

Ojciec i matka panny młodej wychodzą przed dom i zapraszają pana młodego i jego gości do mieszkania. zaproszeni wchodzi do mieszkania, tam za stołem siedzi panna młoda z druhnami. Było też z nimi kilku drużbów. Wtedy drużbowie młodego podchodzą do stołu i rozpoczynają się kupowanie panny młodej. Kupują ją, dorzucają monety na przygotowany talerz. Druhny upominają się, że to mało i tak trwa ta zabawa dłuższą chwilę. Wreszcie gdy uzbierała się z tych pieniędzy odpowiednia kwota (około 5 zł), pan młody podchodzi do stołu, wita się z panną młodą, ona wychodzi zza stołu i od tej pory zajmuje się panem młodym. Wtedy dopiero rodzice panny usadwiają gości pana młodego za stołem i rozpoczyna się poczęstunek. Panna młoda siada obok pana młodego i odtąd są już razem.

Na poczęstunek przygotowywano różne wędliny, mięsa, pierożki z serem, gołąbki z kapusty, kapustę smażoną i wódkę. Wszystko to było podane razem na stole i każdy wybierał sobie to, co mu odpowiadało. Wina nie używano, natomiast był przygotowany kwas chlebowy zamiast piwa. Przez cały czas trwania poczęstunku śpiewano rymowane doraźnie różne przyśpiewki, przerywane okrzykami „wódka gorzka”. Wtedy młodzi musieli się pocałować wiele razy, przy co raz to nowych układanych na poczekaniu przyśpiewkach. Obowiązkowo odśpiewano stojąc „sto lat”, a potem co komu przyszło do głowy. Po około dwóch godzinach, nakarmieni goście przechodzili do innego pokoju na tańce, a ich miejsce przy stole zajmowała następna partia gości, sąsiedzi. Wreszcie gdy wszyscy już się najedli, rozpoczynał się „korowaj”. Państwo młodzi zajęli miejsce za stołem, obok nich stają starszy drużba i starosta weselny. Na stole przygotowane były dwa talerze, jeden pusty, a na drugim dwa kieliszki. Obok talerzy stał dzban z kwasem chlebowym i wódka. Na dużym półmisku znajdowały się różne ciasta. Wówczas starosta weselny zaprasza do stołu najpierw rodziców panny młodej (rodzice pana młodego nie brali udziału w tym przyjęciu — pozostali we własnym domu). Wezwani podchodzą, starosta nalewa im do kieliszków wódkę, wypijają, składają ży-

dokończenie na str. 20

dokończenie ze str. 19

Wołyński rodowód parafii Minkowice Oławskie koło Wrocławia (dokończenie)

czenia młodej parze, a na pustym talerzu kładą jakąś kwotę pieniężną i zasiadają za stołem. Starosta kolejno zaprasza następnych gości. Wszyscy piją wódkę z tych samych dwóch kieliszków. Niektórzy wybierają kwas chlebowy zamiast wódki. Oprócz pieniędzy goście składają różne prezenty dla państwa młodych, np. koszule, ręczniki, naczynia. Niektórzy deklarują owoce lub świnie. Zadeklarowane zwierzęta przyprowadzają nowożeńcom już po weselu. Taka zabawa trwała zwykle przez całą noc do rana.

Przed południem cały orszak weselny wyrusza do kościoła na ślub. Po ślubie druga część przyjęcia weselnego odbywała się już w domu pana młodego. Na przyjęcia weselne zbierały się całe rodziny, z obu stron pana młodego i panny młodej, a także sąsiedzi. Wesela były więc bardzo liczne. Zwykle w przyjęciu uczestniczyło ponad sto osób. Polacy i Ukraińcy kiedy spotykali się razem, nazywali siebie pobratymcami. Nawiazanej przyjaźni przestrzegali wiernie. Nie tylko zapraszali się na poczęstunki świąteczne, ale i pomagali sobie bezinteresownie, np. przy budowaniu stodoły, czy innej potrzebie. „Ukraińcy przychodzili czasami do naszego kościoła”, wspominają Polacy ze Staryków, z Budek Snowidowickich. Polacy także zaglądali do cerkwi np. w Snowidowicach, tłumacząc, że „z ciekawości”, nie mniej z szacunkiem dla miejsca świętego. Mijały lata i nikt nie przeczuwał, że układające się zgodnie i coraz lepiej współżycie polsko-ukraińskie, przynajmniej w tym zakątku ziemi sarneńskiej, zburzy znienacka wrzesień 1939 roku i przewali się takim krwawym kataklizmem nieszczęść, ognia i cierpienia. Wojna! Po spalonych wsiach, zrujnowanych kościołach budowanych kiedyś z najpiękniejszego drewna taką ofiarną miłością, pozostały tylko te wspomnienia. Nikt dziś nie zanuci weselnej przyspiewki w Okopach, Starykach, Aleksandrówce czy w Budkach Snowidowickich. Po prostu tych wsi już nie ma. Jakże pięknie śpiewane pieśni religijne polskie umilkły tam na długo, a może na zawsze.

Wojna. W połowie sierpnia 1939 roku cztery osoby w Budkach Snowidowickich otrzymały karty powołania do wojska. Jedną z nich był Adam Tyszecki. Oto jego relacja. „W pierwszym dniu wojny zostałem raniony pociskiem z karabinu koło Gdańska. Stamtąd zostałem przewieziony do szpitala w Toruniu, następnie do Warszawy i z Warszawy do Sarn. Do szpitala w Sarnach przywieziono duży transport rannych.

Szpital okazał się za mały, więc tamtejszą szkołę przemieniono na szpital. Wszystkie pomieszczenia były przepełnione rannymi, ale tutaj czuliśmy się bezpieczni, bo władze wierzyły w pakt o nieagresji zawarty z Sowietami. W połowie września, daty nie pamiętam — wojska sowieckie przeszły granicę polską. Walki były w rejonie Straszowy. Sarny zostały zajęte we czwartek. Do szpitala przyszedł oficer sowiecki, zwizytował sale i oznajmił: nie bójcie się, my was wyleczymy i pošlemy do domu. Oficera nakarmiono w szpitalu i odszedł. Po kilku dniach, dwa lub trzy dni później, za Sarnami na zachód w kierunku Kowla, wojsko polskie z Korpusu Ochrony Pogranicza stoczyło bitwę z sowietami. Bataliony Rokitno oraz Korzec (XVIII i III) znalazły się w okrążeniu. Polacy przerwali front sowiecki i przedzierali się do Niemców. Po tej bitwie sowieci przywieźli do Sarn ogromny transport swoich rannych. Do szpitala weszli żołnierze sowieccy z automatami gotowymi do strzału i wszystkich rannych, którzy mogli iść na nogach, wyprowadzili do kina Bajka. W łóżkach pozostało kilkaset rannych. Co się z nimi stało nie wiem. Nikogo z tej grupy więcej nie widziałem. Kino Bajka zostało obstawione strażą z karabinami maszynowymi. Jeden żołnierz sowiecki pożytył ode mnie brzytwę. Kiedy się ogolił odniósł mi brzytwę i powiedział: uciekaj, bo będą wywozić do Rosji. Z jednym jeszcze kolegą z Rokitna uciekliśmy nocą na odcinku warty tego żołnierza. Po dwóch czy trzech dniach, rannych z kina Bajka sowieci wywieźli w okolice Żytomierza, na roboty drogowe. Kilku naszym udało się uciec stamtąd i od nich dowiedziałem się o ich losie. Pozostałych wywieziono do niewoli w głąb Rosji i nikt z nich już nie wrócił. W lasach koło Rokitna ukrywało się jeszcze wielu żołnierzy polskich z rozbitych jednostek. Sowietci przeprowadzali oblavy w lasach i kogo ujeli wywozili do Rosji. Kiedy sowieci wkraczali do Polski wybuchła panika. Młodzież uciekała z Budek do Rokitna. Na drugi dzień wracali do domu. Na drodze koło Budek sowieci zatrzymali dwóch szesnastoletnich chłopców, powracających do domu. Zatrzymani zniknęli na zawsze.”

Wtargnięcie sowieców do Polski w pamięci czternastoletniego wówczas Cezarego z Aleksandrówki zapisało się takim epizodem. „W niedzielę rano usłyszeliśmy strzały od strony granicy sowieckiej. Ludzie zbierali się gromadkami, zaniepokojeni, że coś się dzieje. Około godziny 10-tej nadleciał polski samolot od Sarn, krążył w rejonie

granicy i ostrzeliwał z karabinu maszynowego. Około 14-tej nadeszła pierwsza grupa żołnierzy sowieckich. Było ich więcej niż tysiąc. Godzinę później pojawiły się dalsze grupy i szli tak bez przerwy całą dobę w kierunku na Sarny. Kiedy pierwsi żołnierze sowieccy podeszli do wioski, ukryli się za krzakami i w tym czasie nadeszło dwóch naszych żołnierzy. Polacy nie zorientowali się w sytuacji i wpadli w ręce sowieckie. Oni jeszcze nie wiedzieli, że sowieci już przekroczyli granicę. Ja byłem w mundurze harcerskim — opowiadał dalej Cezary Hanuszkiewicz — i miałem czapkę harcerską z orzełkiem. Jeden z żołnierzy sowieckich wziął moją czapkę, nożem oderwał orzełka i powiedział: ot czto za worona”.

Sowieci po wkroczeniu na ziemię polską zorganizowali po wsiach rady wiejskie (Sielsowiety), a w Rokitnie „Raispałkom” i milicję. Do administracji i milicji werbowali Żydów i Ukraińców, Polaków nie przyjmowali co dawało nam wiele do myślenia — mówił Józef Grabowski. Zima w roku 1939 na 1940 była bardzo ostra. Mróz dochodził do 40 stopni, zasypane śnieżne sięgały ponad półtora metra. Podczas tej zimy sowieci rozpoczęli wywożenie rodzin polskich na Syberię. Z Rokitna wywieźli rodziny inteligentkie, urzędników, nawet sołtysów; rodziny osadników wojskowych, leśniczych, gajowych, policjantów i nauczycieli. W Rokitnie byłem świadkiem — opowiada Józef Grabowski — było to w styczniu lub lutym 1940 roku, na stację zajeżdżał transport przesiedleńców Polaków w zapłombowanych wagonach towarowych. Pociąg obstawiony był eskortą wojskową. Nie pozwalali ludziom zbliżyć się do wagonów. Zamknięci w wagonach śpiewali pieśń, pamiętam słowa: Do góry wzbił się Orzeł Biały, rozpuścił skrzydła swe i okrył nimi dzieci swe. Przemówił do nich słowa te: nie płaczcie dzieci, nie, nie zginie Polska nie... Tej pieśni śpiewanej na stacji kolejowej w mroźny wieczór, nie zapomnę nigdy, mówił Józef Grabowski. Transport przyszedł od stacji Sarny i odjechał w kierunku na Olewsk, do Rosji. W czasie postoju pociągu widziałem wyrzucane oknem z wagonu dwa trupy dziecięce. Żołnierze sowieccy kazali pochować te dzieci. Wiem, że wzdłuż całej trasy tego transportu, wyrzucane były z wagonów trupy dzieci i starszych. Takie transporty z ludźmi stłoczonymi w wagonach towarowych, nie opalanych, szły w kierunku na wschód dzień i noc, przez całą zimę, wiosnę i lato aż do wiosny w 1941 r. Inteligencja ukraińska też została wywieziona.

* * *

Wojna niemiecko-sowiecka. Wybuch wojny 22 czerwca 1941 roku w rejonie Rokitna objawił się znienacka paniczną ucieczką Sowietów. Nie było żadnych działań frontowych, do Rokitna nie wkroczyły żadne jednostki niemieckie. Powstała próżnia. Po jakimś czasie Ukraińcy rozpoczęli orga-

dokończenie ze str. 20

Wołyński rodowód parafii Minkowice Oławskie koło Wrocławia (dokończenie)

nizować administrację według instrukcji, jakie otrzymywali od władzy niemieckiej w Sarnach. W każdej wiosce ustanawiali sołtysa i jednego lub dwóch milicjantów. W tym samym czasie z rozbitków sowieckich, którzy nie zdążyli uciec przed wkraczającymi wojskami niemieckimi, poczęły się formować pierwsze grupy partyzanckie. Po jakimś czasie z armii gen. Własowa, która poddała się Niemcom, część żołnierzy uciekła z niewoli i dołączyła do partyzantki sowieckiej. Równocześnie zaczęły się organizować bandy ukraińskie. „Pamiętam, we wrześniu było jakieś święto lub niedziela, dzień był piękny — opowiada Józef Grabowski — byłem w Rokitnie na nabożeństwie. W kościele ksiądz ogłosił abyśmy wyszli na drogę zobaczyć wojsko ukraińskie. Musiał otrzymać takie polecenie. Wyszliśmy na drogę obok kościoła. Po jakimś czasie, drogą od Kisorycz, nadjechała konno grupa wojska. Na przodzie, na białym koniu jechał „Taras Bulba” (Taras Borowiec). Okryty był białą narzutą z prześcieradła, czapka kozacka na głowie, barankowa z czerwonym wierzchem. Kilka metrów za nim było dwóch następnych jeźdźców, a potem cała grupa około stu konnych. Widziałem transparenty. Na jednym był napis „Taras Bulba”, na innym „Na pohybel Lacham”. Były jeszcze inne, ale treści ich już nie pamiętam. Chwilę zatrzymali się przed kościołem, było jakieś powitanie i udali się na plac przed szkołą, jakieś sto do dwieście metrów od kościoła. Tam odbyła się parada, były przemówienia i przy okazji obcięli głowę przy pomniku Józefa Piłsudskiego, który do tej pory jakoś ocalał. Figura była ciosana z piaskowca. Ta grupa „Tarasa Bulby” przybyła z Kisorycz. Dowiedzieliśmy się później, że w Kisoryczach odbywało się nabożeństwo w cerkwi, podczas którego pop poświęcił im broń i pobłogosławił do walki. Broń była rozmaita: karabiny i siekiery, kosy, noże, powrozy i druty kolczaste.

Późną jesienią 1941 roku przybyli do Rokitna Niemcy. W Rokitnie założyli Komendę Wermachtu, posterunek żandarmerii, oprócz tego była komenda SD około 10 żołnierzy i kompania SS stacjonująca w szkole. Była to grupa ruchoma około 300 żołnierzy. Był też posterunek Milicji Ukraińskiej — kilkunastu milicjantów. W Ostkach była jakaś jednostka wojska, były też grupy żołnierzy przy mostach kolejowych koło Budek i na stacji kolejowej. Mostu kolejowego koło Ośnicka strzegło również około 50 żołnierzy.

W roku 1942 powiększały się stale grupy

partyzantki sowieckiej oraz bandy Bandery — UPA. Wówczas Polacy w poczuciu zagrożenia, zwłaszcza ze strony Ukraińców, zaczęli organizować po wsiach samoobronę. Niektórzy dołączali do partyzantki sowieckiej. Wszystkie te grupy partyzanckie żywiły się kontyngentem przymusowo zaciąganych, zwłaszcza w małych wioskach polskich. Zdarzało się czasami (w Starykach), że na jednym końcu wsi zabierali kontyngent Niemcy, a na drugim końcu wsi partyzanci zabierali siłą to co pozostało. Był to najzwyczajniejszy rabunek chłopów.

Pierwsze pojedyncze morderstwa, dokonywane na Polakach, rozpoczęły się wiosną 1942 roku. W maju 1942 roku ludzie ze Staryków znaleźli na drodze do Jamna zwłoki trzech mężczyzn zamordowanych w potworny sposób. Mieli wyrwane języki, wydłubane oczy, obcięte nosy i uszy, i to wszystko leżało poukładane na piersiach. Na czołach ofiar był wycięty nożem krzyż. Na razie nie wiedzieliśmy, kto był sprawcą. Dwa tygodnie później, nocą, mała grupa Ukraińców dokonała kilku napadów na polskie domy w Starykach. Pobili mężczyzn, ale jeszcze nie mordowali. Dowiadaliśmy się o podobnych napadach ukraińskich w dalszej okolicy. W rejonie Rokitna, z przyczyny obecności Niemców, był względny spokój.

Masowe zbrodnie ukraińskie rozszalały się dopiero wiosną w roku 1943. W połowie marca grupa Ukraińców (6 osób) dokonała napadu na dom Franciszka Hanuszewicza w Aleksandrówce. Hanuszewicz mieszkał oddzielnie, około 100 metrów od wioski. W czasie napadu córka Hanuszewicza wybiegła przez okno z domu i zaalarmowała wieś. Polacy we wsi nie mieli broni, ale tyczkami do grochu bili w ściany stodoły z desek i zrobili taki okropny hałas, że spłoszyli napastników. W ten sposób rozniosła się po okolicy pogłoska, że Polacy w Aleksandrówce mają broń. W tym samym czasie dokonano napadu na rodzinę Jaworskich w kolonii Dąbrowa, odległej 2 km od Aleksandrówki. Nocą grupa Ukraińców wdarła się do mieszkania Jaworskich, zamordowali ojca i najmłodszego syna dziewięcioletniego Antosia. Jeden z synów Jaworskiego siedemnastoletni Franek ukrył się pod łóżkiem, zauważył go Ukraińiec i wystrzelił do niego całą serię kul z automatu. Popłynęła krew z przestrzelonych nóg, Franek udał martwego i tak ocalał. Poranili też żonę Jaworskiego. Kilka dni później dowiedzieliśmy się o wymordowaniu rodziny Żołnowskich w Kisoryczach. Była to jedyna rodzina polska w

ukraińskiej wsi. Żołnowskich uduszono sznurkiem, ojca i syna, żona Żołnowskiego również duszona sznurkiem, udała martwą i dzięki tej symulacji ocalała. Po odejściu Ukraińców uciekła i powiadomiła Polaków o napadzie. Obie rodziny, Jaworskich i Żołnowskich, obrabowano.

Dnia 22 maja 1943 roku, było to w piątek wieczorem, jeden z Ukraińców zamieszkały w Aleksandrówce, Horgiej Bryczka, powiedział w sekrecie Franciszkowi Hanuszewiczowi, na którego już uprzednio dokonano napadu: „tej nocy będzie z wami bieda”. Nie chciał powiedzieć dokładnie co będzie. Wieczorem więc kobiety z dziećmi i starsi mężczyźni odjechali wozami do lasu na nocleg. We wsi pozostali tylko młodzi mężczyźni, rozstawili patrole i czuwali. Całą noc padał ulewny deszcz, ale nic podejrzanego się nie wydarzyło. Nad ranem, około godziny 5-tej, kobiety z dziećmi powróciły z lasu. Wtedy właśnie gdy przemoczeni przebiegali się w inne ubrania, Ukraińcy zaatakowali. Okazało się, że oni również ukryci w zbożach, oczekiwali na powrót kobiet z lasu. Znienacka wpadli do wsi, ostrzeliwując domy z karabinów i broni maszynowej. Podczas tego ataku zostało zabitych osiemnaście osób, w tym mężczyźni, kobiety i dzieci. Dwóch ciężko rannych przewieziono do szpitala w Rokitnie. Było też wielu lżej rannych. Wieś została obrabowana i spalona. Ocalały od pożaru zaledwie cztery domy. Zabitych pochowano we wspólnej mogile na cmentarzu w Rokitnie. Pogrzeb odprawił ksiądz staruszek z Sechów, wygłosił też żałobne kazanie w kościele. Mieszkańcy Aleksandrówki, którzy ocalili z pogromu, schronili się w Rokitnie, skąd przekradali się na swoje pola by zebrać zboże i zdobyć coś do jedzenia. Przy tym przekradaniu się do obrabiania pola zginęło dalszych osiem osób.

Tydzień później, znowu w nocy z piątku na sobotę, dnia 30 maja 1943 roku, przeprowadzili Ukraińcy napad na Staryki. Nie był to pierwszy napad na tę największą wieś polską w rejonie Rokitna. Pierwszą próbę napadu przeprowadzili Ukraińcy jesienią jeszcze w roku 1942. Wówczas atak Ukraińców został odparty przez przygotowane do obrony wsi własne siły. Wiosną w roku 1943 przeprowadzili Ukraińcy dwa następne napady na Staryki, które również zostały odparte. Starykom przychodził z pomocą polski oddział partyzancki, Oddział Wójka” stacjonujący w Rudni Lwa, odległej o 5 km od Staryków. Dowódcą tego oddziału był por. „Strzeżenie”, który sprawnie dowodził, niestety niezbyt licznym oddziałem. Liczba partyzantów w „Oddziale Wójka” wahała się w granicach od 20 do czasami 200 osób. Działał też w okolicach Rokitna oddział partyzantki sowieckiej „Miedwiedziów”. Oddział ten złożony był częściowo z Polaków i pozamiejscowych Ukraińców, zorganizo-

dokończenie na str. 22

dokończenie ze str. 21

Wołyński rodowód parafii Minkowice Oławskie koło Wrocławia (dokończenie)

wany był dla obrony wsi polskich, ale raczej sam dopuszczał się rabunków u Polaków. Wkrótce Ukraińcy z tego oddziału przeszli do sztabu głównego „Miedwiedziowa”, który działał na północ od Rokitna, w okolicach Lado, Tatynna i Omelna. Były to polskie wioski położone wśród lasów i błot pelskich. W lasach w pobliżu Stryków krążył jeszcze oddział partyzancki polsko-sowiecki, dobrze uzbrojony, tak zwanych „Szytowców”. Ci także dopuszczali się raczej grabieży. W owym czasie Stryki były natłoczone uchodźcami ze spalonych wsi Rudna Lwa, Besedki, Łomska oraz z Aleksandrówki. Zorganizowano „samoobronę” — cztery plutony po 80 osób każdy. Niestety plutony te były słabo uzbrojone. Polacy łącznie posiadali kilkanaście karabinów i trochę więcej granatów, które kupili od Niemców pilnujących mostu kolejowego w Ośniku.

W nocy 30 maja Ukraińcy po nieudanych próbach, tym razem starannie przygotowali napad na Stryki. Wieś okrążyli potrójnym pierścieniem. Od strony wschodniej i południowej, oraz od wsi Rudna Lwa front uformowała kawaleria. Od zachodu bandy piechoty. Ukraińcy byli uzbrojeni w karabiny i automaty, posiadali także trzy miotacze min. Druga linia napastników, zamykająca wieś szczelnym pierścieniem, uzbrojona była w kosy i siekiery. Ci mordowali wszystkich wziętych do niewoli, a także wyszukiwali Polaków, którym udało się ukryć przed atakującymi w pierwszej linii. Za tą drugą linią wdzierały się gromady kobiet i wyrostków, które rabowały dobytek mieszkańców, wyprowadzały bydło z obór i podpalały zabudowania. W napadzie brały udział również dzieci, biegały, wrzucały słomę przez rozbite okna do mieszkań i podpalały. Atak nastąpił o wschodzie słońca. Ludzie nocowali razem w środku wsi. Około godziny 5-tej rozchodzili się do swoich domów i właśnie wtedy Ukraińcy zaatakowali. Walka trwała kilka godzin. Około godziny 9-10-tej nadeszli z odsieczą Niemcy z Ośnicka, a nieco później nadjechały z pomocą niemieckie samochody pancerne z Rokitna. Walki trwały nadal. Wieś kilka razy przechodziła z rąk do rąk, ostatecznie około południa Ukraińcy wycofali się ze zdobyczą. Niemcy pobierali to co pozostało, kilkanaście świń, połapali kury, kaczki i gęsi, zabrali to wszystko i odjechali. Podczas tej walki o Stryki zginęło 83 Polaków, niektórzy straszliwą śmiercią wśród tortur. Dzięki niemieckiej odsieczy sporo ludzi ocalało życie. Dwa miesiące później, w sierpniu, na drodze

z Rokitna do Stryków, wpadła w ręce Ukraińców grupa ocalałych z pogromu Polaków ze Stryków. Jedenaście osób zostało zamordowanych w okrutny sposób. Zostali obdarci ze skóry, wyłupiono im oczy, powyrwano języki, poobcinano uszy. W ciągu tego lata 1943 roku, zwłoki podobnie zamordowanych znajdowano wszędzie. W natłoczonym Rokitnie brakowało żywności, niektórzy więc próbowali znaleźć coś do jedzenia w polu, szukali ziemniaków, wpadali w ręce Ukraińców i ginęli bestialsko mordowani.

* * *

Spalenie Karpiłówki. Około miesiąca po napadzie na Stryki, przybył do Rudni Lwa oddział partyzantów sowieckich, około 100 ludzi dobrze uzbrojonych, pod dowództwem komendanta o nazwisku, bądź pseudonimie, „Piatnicki”. Tenże Piatnicki zarzucił por. „Strzemię”, dowódcę oddziału „Wójka”, że nie przeprowadził „rozpoznania” w Karpiłówce. Por. „Strzemię” odpowiedział, że nie ma sił do przeprowadzenia takiego rozpoznania. Wówczas jeden młody „lejtant” sowiecki poderwał się i oświadczył, że on z dwoma ludźmi pójdzie do Karpiłówki i wszystko zbada. Ostatecznie wziął ze sobą pięciu partyzantów sowieckich, poszli i nie wrócili. Jeszcze tego samego dnia Piatnicki wysłał za nim grupę osiemnastu żołnierzy na koniach i nikt z nich nie wrócił. Następnego dnia wysłano do Karpiłówki dużą grupę „szytowców” (polsko-sowiecka partyzantka) i z tej grupy uciekło zaledwie kilku, reszta zginęła. Wtedy zapadło postanowienie zniszczenia Karpiłówki. Do akcji zgromadzono duże siły sowieckie, włączono także polski oddział „Wójka”. Akcja była starannie przygotowana. Wieś otoczono ze wszystkich stron. Od cieków południowy, od wsi Borowe, został zaminowany. Na odcinku Okopy-Dołgań, długości około 3 km, przygotowano w zasadzce ciężkie karabiny maszynowe. Rozciągały się tam szerokie torfowiska i bagna. Po ukończeniu przygotowań, zostały wystrzelone trzy rakiety świetlne, był to sygnał rozpoczęcia akcji. Pociskami zapalającymi podpalono wieś, która stanęła w ogniu. Ukraińcy rzucili się do ucieczki w kierunku lasu, na wieś Borowe. Trafili na miny. Zaczęli uciekać w kierunku na Okopy i tam dostali się w krzyżowy ogień karabinów maszynowych. Cała wieś spłonęła. Ocalały od ognia jedynie hutory rozrzucone w dużej odległości od zwartej zabudowy. Zginęło

wiele ludzi. Duża część Ukraińców ocalała ukryta w schronach. Wieś liczyła ponad dziesięć tysięcy ludzi. W czasie akcji nadjechał oddział zmotoryzowany SS Niemców, ponad 200 żołnierzy. Nawet nie spostrzegli, kiedy zmieszali się razem z partyzantami i wspólnie atakowali wieś. Nie mieli innego wyjścia. Znaczna jeszcze część mieszkańców Karpiłówki, ukrywających się w bunkrach, doczekała się nadejścia Sowietów. W styczniu 1944 roku Sowietzi przeprowadzali pobór do wojska. W mojej obecności — opowiada Józef Grabowski — przyszedł do Komendatury Sowieckiej w Rokitnie sołtys z Karpiłówki i oświadczył, że nie da rady przeprowadzić mobilizacji, bo go nie słuchają. Wysłano z nim kompanię wojska, około 200 żołnierzy. Ta kompania została wymordowana w Karpiłówce. Wtedy posłano batalion (cztery kompanie) i wieś została spacyfikowana. Większość mieszkańców zginęła, nielicznym udało się uciec. Pod koniec stycznia posłano do Karpiłówki czotgi i samoloty i te dopiero zdołały rozbić bunkry. Tak dokonano się totalna zagłada Karpiłówki. Poszukiwania ocalałych uciekinierów trwały do marca. Złapanych Ukraińców z Karpiłówki Sowietzi przyprowadzali do Rokitna i tam wieszali. W Rokitnie powieszono trzech głównych przywódców z Karpiłówki — wisieli przez dwa miesiące. Ujętych Ukraińców Sowietzi prowadzili związanych powrozami i w drodze wielu z nich pozabijali kolbami. W tym czasie wielu Ukraińców z innych okolicznych wiosek Sowietzi wywieźli transportami kolejowymi w głąb Rosji.

* * *

Stosunki sowiecko-ukraińskie z początkiem roku 1944. Do Rokitna wkroczyli Sowietzi dnia 2 lub 3 stycznia 1944 roku. — relacjonuje Józef Grabowski — W tym też czasie zajęli okoliczne wsie. Bezpośrednio po tym zabierali do wojska Polaków i Ukraińców. 15 stycznia byłem już zmobilizowany do Armii Czerwonej. Najpierw w Rokitnie ćwiczyliśmy tyczkami od fasoli przez około pięć dni. Po tym przygotowaniu zebrali nas na polu we wsi Rokitno, około czterystu Polaków i dwa tysiące Ukraińców. Tam oznajmiono nam, że odmaszerujemy na noc do Związku Radzieckiego, do „Armii Kapciuszki” — dowódca sowiecki nie znał dokładnie nazwy „Kościszko”. Wtedy wystąpiło nas dwóch Polaków i powiedzieliśmy, że razem z Ukraińcami na noc nie pójdziemy, bo nas wymordują. Na to nadjechał drugi dowódca i pyta dlaczego nie maszerujemy — wówczas nasz dotychczasowy dowódca kapitan sowiecki powiedział, że Polacy odmówili posłuszeństwa i nie chcą iść razem z Ukraińcami. Wtedy on rozkazał Polakom wystąpić z szeregu na 50 metrów do przodu. Wystąpiliśmy, ale razem z nami wystąpiło dużo Ukraińców. Zaprotestowali-

dokończenie na str. 23

dokończenie ze str. 22

Wołyński rodowód parafii Minkowice Oławskie koło Wrocławia (dokończenie)

śmy u dowódcy. Do godziny dziewiątej wieczorem ciągle staliśmy jeszcze na tej łące i rozpoznawaliśmy Ukraińców. Na wezwanie dowódcy część Ukraińców wystąpiła, innych według nazwisk i ubrania wyławialiśmy z naszej grupy. Ale przy okazji sowietci zabrali około stu Polaków i dołączyli do nich część Ukraińców, którzy nie przyznawali się, że są Ukraińcami i utworzyli z nich oddzielną grupę. Poprowadzili nas nocą do Olewska. W Olewsku przenocowaliśmy nad Uborcią w dużym domu bez okien. W Olewsku eskortujący nas partyzanci sowietcy rozgłosili, że idzie duża grupa Polaków ochotników do Armii Polskiej, która będzie wyzwalać swoją ojczyznę. Cała ludność miejscowa wyszła na drogę nas podziwiać i obdarowywali nas czym kto miał, Polskich Ochotników. To powtarzało się we wszystkich wsiach, przez które przechodziliśmy. Wśród tych ludzi po sowieckiej stronie granicy było wiele Polaków. Na trzecią noc doszliśmy do koszar wojskowych, tzw. „wojennyj gorodok” Bełokorowicze. W ślad za nami, o kilka godzin drogi, maszerowała grupa Ukraińców. Tam wprowadzili nas do ogromnej świetlicy. Po dwóch godzinach doszła ta grupa Ukraińców, z którą rozeszliśmy się w Rokitnie i także wpędzili ich do świetlicy, gdzie miał się odbyć „miting”. W świetlicy było tak tłoczno, że nikt nie mógł się ruszyć, gdyby upadł, zostałby rozdeptany. Ani łokciem ruszyć nie było można. Po chwili żołnierze sowietcy wnieśli stół na scenę w świetlicy, na stole postawili wiadro wody dla mówcy, a obok wiadra szklankę. Po chwili do stołu przyszedł oficer polityczny „politruk” i rozpoczął mowę. Nawiazała do Bogdana Chmielnickiego i mówił „tawariszczi Ukraińcy” my byli braćmi i będziemy braćmi, a Lacham na pochybel. Po jakimś czasie, gdy mówca już kilka razy wodę popijał i pod adresem Polaków wygłosił wiele gróźb, ktoś zwrócił mu uwagę, że na sali jest dużo Polaków. W jednej chwili przerwał mowę i wyszedł za drzwi. Wrócił po kilku minutach i zawołał: Polaki ruku w goru! Podnieśliśmy ręce, on mruknął: och, skolko was mnogo zdieś nachodziśca. Kazał nam opuścić świetlicę. Myśmy wyszli, a on dalej prowadził swój wykład. Jednak dwóch Polaków dla ciekawości pozostało i wysłuchali do końca tego przemówienia. Opowiadali nam później o tym, ale szczegółów już nie pamiętam. Na placu przed świetlicą czekało na nas dwóch żołnierzy i odprowadzili nas poza teren koszar na miejsce obok strzelnicy znajdującej się około 300 m od koszar.

Otóż w czasie, kiedy my byliśmy jeszcze w świetlicy, na strzelnicy została umundurowana i uzbrojona grupa Ukraińców, do tysiąca ludzi. Ukraińcy, kiedy dostali broń, wymordowali dowódców sowieckich i uciekli do lasu. Powstał popłoch. Alarm. I w jednej chwili sytuacja całkiem się odmieniła. My Polacy otrzymaliśmy zaufanie dowództwa i powierzono nam pilnowanie Ukraińców, którzy musieli wykonywać nasze rozkazy. Stamtąd odmaszerowaliśmy do Żytomierza, ale już my Polacy byliśmy grupą posiadającą zaufanie. W Żytomierzu otrzymaliśmy broń, a Ukraińcy nie.

* * *

Z Żytomierza przez Sumy założone przez Kozaków w XVII wieku, gdzie formowano Polską Armię, a potem przez pola bitewne od Dniepru aż do Berlina, długa była droga i ciężka dla żołnierza polskiego. Wielu z nich wcielono do Armii Czerwonej. Nikogo nie pytano o zgodę. Jakże liczni pokryli bezimiennymi mogiłami błota poleskie, a potem rozmaite szlaki bojowe, których nazwy zatary się już w pamięci. Ci, którzy ocaleli z Budek Snowiedowickich, ze Staryków, Okopów i Aleksandrówki, w czerwcu 1945 roku zostali przesiedleni do Minkowic Oławskich. Tutaj przesiedlone rodziny oczekiwały na zdemobilizowanych żołnierzy. Tutaj długo jeszcze tliły się nadzieje, że może wrócą i ci deportowani w głąb Rosji. Niestety — szczęśliwych jest zawsze niewiele.

Pierwsze lata po wojnie były bardzo ciężkie. W roku 1950 Minkowiczanie rozmaitymi szykanami zostali przymuszeni do przystąpienia do tak zwanej „spółdzielni produkcyjnej” (kołchozu). Nie łatwo było ich złamać. Pierwszą okazję w roku 1956 wykorzystali do zrzucenia z siebie tego zniewolenia, z ducha i materii, sowieckiego. Z tymi wspinałymi ludźmi spotkałem się w roku 1958. Wtedy jeszcze przechowywali nadzieję, że powrócą do swoich spalonych wsi, na ojcowiznę na Wschodzie. Zachęceni, przystąpili w roku 1958 do naprawiania zniszczonych kościołów w Minkowicach. Zostaliśmy ukarani grzywną przez „kolegium orzekające w Oławie”. Wcześniej jeszcze, w roku 1957, w filialnej wiosce minkowickiej parafii, w Biskupicach Oławskich stanął pierwszy kościół na Dolnym Śląsku, wybudowany od fundamentów przez Polaków. Zaczęliśmy wrastać korzeniami na nowej ziemi.

ks. Jan Kurdybelski

Poszukiwania

Poszukuję Józefa Fedyka ur. 27.05.1924 r. we wsi Malinów-Tuliński pow. Rudki woj. lwowskie. We Lwowie w jesieni 1945 roku został prawdopodobnie aresztowany przez NKWD i wywieziony na Syberię.

Osoby, które mogłyby udzielić informacji o losach Józefa Fedyka proszone są o przysłanie ich na adres:

Władysław Chračhol
25-137 Kielce-Baranówek
ul. Jana Tarnowskiego 4

Sprostowanie

Zarząd Oddziału TML i KPW w Wałbrzychu informuje, że wiadomość podana w *Semper Fidelis* nr 4/94 s.43 przez Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej o przyjęciu dzieci borysławskich w Wałbrzychu w 1992 roku wymaga sprostowania.

Organizatorem akcji był Zarząd Oddziału TML i KPW w Wałbrzychu a nie wyżej wymienione Stowarzyszenie. W tym celu zorganizowano pobyt dzieci u SS. Niepokalanek oraz w rodzinach (w sumie 28 dzieci i 5 osób dorosłych). Dla sfinansowania tego pobytu otrzymano z Urzędu Miejskiego w Wałbrzychu 10 milionów złotych oraz z Z.G. TML i KPW 2 miliony złotych.

Przepraszamy Pana prof. dr. hab. Artura Hutnikiewicza za mylne podanie jego imienia w sprawie treści S.F. nr 5/22/94.

TRZY ZIEMIE

FRANCISZEK KONARSKI
REF - REN

Od lat jakże długich i trudnych
Wciąż ta sama na sercu troska:
Że tam gdzieś - zostały trzy ziemie:
Wileńska, Wołyńska i Lwowska.

Jak w nowych Księgach Pielgrzymstwa,
Genezis naszego tułactwa:
Trzy ziemie. Trzy ofiary
Największego na świecie łajdactwa.

Wymazali, skreślili z mapy,
Oddzielili drutów zasięgiem.
Nie mieli kruszyny litości
Nad ziemią i nad człowiekiem.

Człowieka wygnali z ziemi —
Ziemie człowiekowi wydarli.
Zostali w ziemi ci tylko,
Którzy kiedyś wolnymi tu zmarli.

Kara ludzka ich nie dosięgła,
Nie ulękli się przeto i boskiej
I plądrują i chodzą po ziemi
Wileńskiej, Wołyńskiej i Lwowskiej.

Wykarczować by chcieli korzenie,
Przeoraliby ziemię do spodu,
Żeby nic tu nie mogło przypomnieć
Jej przeszłości i tego Narodu,

Który w ziemię tę wrósł od prawieków,
Który żył tu od dziadów-pradziadów...
Żeby nikt nie odnalazł tu więcej
Raz na zawsze zatartych tu śladów.

Przesiedlili, przegnali, wywieźli,
Oddzielili duszę od ciała.
Zapomnieli tylko o jednym.
Przeoczyli, że ziemia została.

Ziemia, której ni wygnać, ni wywieźć,
Z której nadal z nadejściem wiosny
Zielonością w niebo strzelają
Buki, klony, topole i sosny!

I już gaj się rozszumiał, rozgadał
Po dawnemu — wileńską brzozą...
Łatwo było wywieźć człowieka -
Ale brzoź — wszystkich brzoź nie wywiozą!

A tu las się po lwowsku rozśpiewał -
Po człowieku została scheda...
Łatwo było wysiedlić człowieka
Ale lasu wysiedlić się nie da!

A tu chabry modrookie wśród zbóż
Ubarwiły tę ziemię żalosną...
Łatwo było wypłenić człowieka
Ale chabry na nowo wyrosną!

Ani słońca nikt przegnać nie zdoła,
Ani wiatru nikt nie wyrzuci -
Bo i słońce na nowo zaświeci,
Bo i wiatr tu na nowo powróci!

Miasto da się przemienić, przestawić
Można z każdą rozprawić się wioską
Ale ziemia wciąż ziemią zostanie
Tą Wileńską, Wołyńską i Lwowską!

I zostaną w tej ziemi mogiły,
I te prochy zostaną i kości —
Jako symbol dawnego dziedzictwa,
Jako prawo odwiecznej własności!

I gdy człowiek po latach tułaczki
Wróci tu z własnym synem lub wnukiem —
I usiądzie znużony wędrowną
Pod modrzewiem, topolą czy bukiem,

Na tej ziemi żyjącej i żywej —
Wtedy nagle usłyszysz z daleka
Jak doń las po wołyńsku zagada..
Jak po lwowsku zaszumi mu rzeka

Jak mu wiatr po wileńsku zaśpiewa
O przeszłości tej ziemi upartej,
Która burze najgorsze przetrwała...
O tej Polsce na części rozdartej,

Z mapy świata zmazanej - a przecież
Znowu całej. I wtedy zrozumie
Że to ziemia go wita najmielsza
I usłyszysz w gałęzi poszumie,

Jak raduje się jego powrotem,
Czekająca na niego — ojcowska —
Jego ziemia, za którą tak tęsknił
Ta Wileńska, Wołyńska i Lwowska!

Z polskiej prasy podziemnej — okupacja niemiecka

Słowo Polskie,
Lwów, 3 grudnia 1943,
R.II, nr 50, s.5

„Ukraiński terror. W ciągu listopada zginęli w Małopolsce Wschodniej z ręki zbrodniarzy ukraińskich m.in. następujący Polacy: Edward Wiss, przewodniczący Delegatury PKO w Rozdole pod Mikołajowem, ks. Procyk, proboszcz w Baworowie, Jan Marceluch w Trembowli, Jan Żywina w Majdanie, Demczuk, Ryszard Artwiński, Zofia Wackerman, Jerzy Sulimowski, Tadeusz Mojda, Józef Zahorniak, Zenon Zieliński, Jan Świerk, Michał Wójcik, Cisowska, Stawrowski, Szymański, Rogowski, Burakowski, Przyślak, Prohaska, Mendelski, Stefan Osada, Jan Woszniewski, Tadeusz Żelazny i szereg innych bohaterów trwania na posterunku. Dnia 30.XI. został zamordowany sołtys Wierny i sekretarz Gromadzki z Biłki Szalecheckiej pod Lwowem. W Sokółówce pow. Brody przyszło do formalnej bitwy z bandą ukraińską, która oblegała leśniczówkę. W czasie gęstej wymiany strzałów ze strony napastników padło dziesięciu. Napad odparto kosztem dwu ofiar ze strony leśnictwa oraz wszystkich zabudowań gospodarskich, które wraz z dobytkiem poszły z dymem.

Pop świętokradcą. W wyniku śledztwa z zamordowaniem ks. Duszeńki w Ponikowicy koło Brodów aresztowani sprawcy przyznali się do winy, twierdząc, że dokonali morderstwa z namowy gr.-kat. księdza z Wysocka Mikołaja Horwaniuka u którego po dokonaniu rewizji znaleziono złoty kielich z kościoła w Ponikowicy oraz sutannę ks. Duszeńki.”

D W I E S T R O N Y T R A G E D I I

Relacja przesłana do redakcji Semper Fidelis:

„Pewnej nocy w lipcu lub sierpniu 1944 roku, gdy już przeprowadziliśmy się ze zbombardowanego naszego domu przy ul. Miejskiej 69 na ulicę Szeptyckich 35, obudziliśmy się gdy ktoś mocno łomotał do drzwi. Gdy mama otworzyła, do mieszkania weszła Kowalowa (nasza była sąsiadka z czasów, gdy mieszkaliśmy na Polance). Wyglądała jak upiór lub oszalała. Z początku nie mogła nic mówić, później weszła w kąt i powtarzała „ukryjcie mnie”.

Wreszcie opowiedziała, że dwa dni temu UPA weszła do jej domu i zarżnęła jej chorego męża (Polaka), zaś ich 17-letnią córkę z rocznym jej braciszkiem zawlekli do pobliskiego lasu. Kowalowa była w tym czasie na podwórzu, gdzie ukryta w stogu siana, patrzyła na to. Działo się to krótko po ucieczce Niemców i zajęciu Lwowa i Polanki, odległej od Lwowa o 17 km. przez Sowieców.

Dwa dni po napadzie NKWD odnalazło w lesie trupa Natalki, miała rozcięty brzuch a w nim był martwy roczny braciszek. Kowalowa z miejsca uciekła do Lwowa i więcej się do domu nie pokazała. Do czasu znalezienia sobie mieszkania Kowalowa mieszkała u nas. Kowalowa była Ukrainką a jej pierwszy mąż był petlurowcem. W okresie przedszkolnym Natalka była moją najbliższą koleżanką.”

(nazwisko i adres do wiadomości redakcji).

A więc mamy już w całości nasze lwowskie zwierciadło pamięci. Duże, krystalicznie czyste i wiernie odbijające — dla nas stworzone, jak chciał tego Autor. Sześcioksiąg Witolda Szolginia „Tamten Lwów” stoi na naszych kresowych półkach i już trzeba go do cymeliów bukiniistycznych zaliczyć*). Nie dla treści, nie dla ilości zapisanych stron, ale dla kształtu literackiego w jaki się to „urbanistyczne” pisarstwo przyoblecło, dla klimatu ciepłego, otulającego słowa i rozdziały dzieła. Na poszczególne jego tomy czekaliśmy jak na wydarzenia nie tylko czytelnice, lecz jak na obłoki przyplwające stamtąd: znad Miasta, w którym pozostawiliśmy najlepsze lata, uczucia, spełnienia jak i niedokonania. Zostawiliśmy dobra materialne przeróżnego kształtu, wielkości i wartości, dziś

jeździliśmy „jedyńką”, lub „czwórka”, byliśmy tam nie dostrzegając nagromadzonych zrządzeniem przyrody i ludzi niezwykłości. Weźmy dla przykładu plac Mariacki. Zapamiętałem na nim Mickiewicza, Madonnę, Georg’a, Sprechera, no i może fotoplastikon w pasażu i sklep Starka i defilady ... Na stronicach książki jawi nam się w tym miejscu dodatkowa obfitość znaczących kamienic, sklepów, salonów i ich właścicieli. Różnorodność budynków i ludzi przeogromna. To wszystko opisuje Autor szczegółowo nieomal i pieczołowicie. W zdaniach, rozdziałach, w całej tej literackiej materii jest obfitość ciepła panawitoldowych uczuć. Nie narzuca ich czytelnikom, nie zmusza do niczego. Ukazuje, opowiada i podpowiada, a nas nie opuszcza przekonanie, że jest malarzem i to tegim krajobrazów serdecz-

mu. W domu natomiast czuje się jak w więzieniu ...”. W. Szolginia przywołuje takie typy i typki, bo wie, że one są meandrami wielkiego miasta. Tę wielkomięskość na swój sposób udowadniają. I oto mamy klimat, a o to piszącym leopolitana niełatwo.

W ostatnich latach ukazuje się sporo książek o lwowskiej, bądź kresowej proweniencji. Sączy z tych stroniec zefirek jakowyś, lwowski, a może i ciepłko rytmem serca przyspieszające na zasadzie, że wszystko co stamtąd — wzrusza. Dzieło W. Szolginia jest dokonaniem znacznie większego formatu. Rozrastało się ono w miarę pisania. Rozrosło się jednak precyzyjnie, wchłonęło wszystko to co monumencjum pisarskie o miejscu na ziemi objąć powinno. Narzuca się przydatność porównania: może to być tylko „Lwów” Wasylewskiego.

Sześcioksiąg nie jest przewodnikiem po Lwowie, choć każdy kto doń wyrusza, winien najsamprzód dzieło przeczytać. Po powrocie ponownie. Chociażby dla utylitamej potrzeby, choć nie ona wydaje się być najważniejsza. Otrzymaliśmy bowiem oto do rąk księgę odkrywania Miasta nad Pełtwią, Naszego Miasta. Stronice źródłowo udokumentowane, co u Autora nie dziwi, lecz są to także słowa o naszym tam niegdysiejszym bytowaniu. Czynią te stronice możliwość odnalezienia się w materii i duchu przestrzeni opuszczonej. Każdą kartką, każdym rozdziałem potwierdza Autor, że Lwów i jego okolice, jego źródłiska i ciekki wodne, wzgórza, parki, miejsca publiczne, powietrze nieomal są gentium mirabile. Autor ustawia się, choć tego nie zamierza, jako ostatni, który w polskiej literaturze swoje nasyce nie kresową stolicą uczynił sensem życia. Lwów był zawsze i jest nadal źródłem inspiracji twórczej, jednakże genius loci tego Miasta nie każdemu przydawał skrzydeł. Nie każdy twórca tam obecny był przesiąkalny na lwowskie powietrze. W. Szolginia jest przepojony tym air d’amour, o czym wiedziliśmy od czasu ukazania się Jego „Domu pod żelaznym lwem”, a to pozwala Mu na wznoszenie się ponad Miastem — Gniazdem, widząc nieomal wszystko: i targ rybny na Krakidach, i krupiarki na Antoniego i znakomicie zorganizowaną straż pożarną w ... fabryce wódek i likierów Baczewskiego, szabasowy wieczór na Łyczakowie (opisany mową wiązaną) i fenomenem Stefana Banacha i innych mężów lwowskich arterium et litterarum. Niełatwo jest poruszać się w tych tak różnorodnych przestrzeniach, w których poruszali się tamci. Autor z łatwością i z niejakim wdziękiem pisarskim to potrafi. Dostrzega okiem znawcy — architekta piękno tam, gdzie inni wybrzydają. Jest bowiem często-gę-

Nad „Tamtym Lwowem”

JERZY MASIOR

wszystko na miarę sacrum. Takie bowiem było to Miasto naszego dramatycznego opuszczenia. Dramat ten trwa nieustannie, póki żyjemy ...

Trzeba być Lwowem opętany, być nań chorym (do czego zresztą Autor się przyznaje), by tak serdecznie i pieczołowicie opisywać to miejsce: Lwów monumentalny, jak i ten wciśnięty w zakamarki placu Krakowskiego, w drzewa Pohulanki, gdzie w bukach szemrała węglińska „brunszta”, albo nieomal domową zieleń Parku Łyczakowskiego, gdzie „błękitne niebo z łączącymi po nim białymi barankami, słońce sięjące swój złocisty, świetlny pył przez gałęzie czarno-zielonych sosen i wyzwalające z nich upojny, kadzidlany zapach ...” Potrzeba dociekliwości Autora, by opisując np. lwowskie ulice zapełniać je imionami ich mieszkańców. Perfekcjonizm, jaki towarzyszy Jego pióru, wypełnia przestrzenie naszej pamięci niekiedy wręcz odkrywczymi. No bo dłaczego place Ferdynanda czy Solskich mają taki, a nie inny onomastyczny rodowód? Autor to wie i nam podpowiada. Z beletrystycznym wdziękiem przemieszcza Madonnę po placu Mariackim, albo „swojaka i współobywatela” lwowskiego, hetmana Stanisława Jabłonowskiego pod drodze po mieście kończy na placu Trybunalskim. Chodziliśmy przed laty tamtędy, rejestrując mimochodem fakty, ale o ustalenia ich zaistnienia któż pytał? Nasze ówczesne peregrynacje pod Wysokim Zamkiem jakżeś często nie pozostawiały po sobie niczego prócz migawkowego obrazu. Przemierzaliśmy ulice, place, parki,

nych, że jest „wierszopisem” i to ponieważ z wykoncypowanej konieczności, bo jak sam mówi „czyż rymy i rytmy nie odbierają monotonii (prozie — J.M.) i nie przydają urody opisowi?” Poezja własna i przytaczana innych autorów to pawie pióra tomów. Trafnie i potrzebnie wpłata w rozdziały wzbogaca literacko całość. Liczy się tylko dobór wierszy: górę bierze w nich opis z pozostawieniem metafory jakby w cieniu. A przecież o to głównie idzie. O wydobyć na tle dzieła jego szczegółów, które jak kłajster pamięci coś utrwalają, a w nas, lwowianach wywołują poczucie posiadania ze wspomnień, z dawnego oglądania, z minionej naszej tam obecności.

Wiersze autorskie skrzą się bałakiem. Ileż potrzeba było przywoływania pamięci, ile zapisanych źródeł i podszeptów Łyczakowskiej Klio, by ująć batiański slang w cugle dwunastozgłoskowca. Dzięki uprawianej przez Autora na stronicach tomów prozatorsko-poetyckiej miszkulacji jak i przywoływaniu cytatami innych autorów, udowadnia On jeszcze raz, że gdy dwóch patrzy na to samo, to nie jest to samo (nie sprawdza mi się ta zasada do końca w pisarstwie Autora).

Przywoływani Szczepko i Tońko iskrzą się klimatem Miasta, mówią niekiedy więcej o jego ludziach, ulicy, wydarzeniach niż uczone rozprawy — są drzazgami pamięci. Albo taki Motio Ausschusmann, który „korzysta w całej pełni z niedawno nabytego przywileju pełnoletności karnej (ma 14 lat — J.M.). W kryminale czuje się jak u siebie w do-

dokończenie ze str. 26

sto subiektywny, ale pokażcie mi lwowianka i to z Górnego Łyczakowa bezstronnie, wyważonego, chłodnego. Gdzie indziej Szolginia takim być umie, boć sam się perfekcjonistą zwie i doprawdy nim być potrafi. W opowieści o Mieście rodzinnym przy całej dbałości o prawdę materialną i historyczną nie może pominąć ducha przestrzeni, a tu już perfekcjonizm może stać się kłoda dla słów... Autor jest także poetą i to nam i Jemu wystarczy.

Język, jakim posługuje się Pisarz w konstrukcji dzieła jest językiem pozbawionym chłodu. I tu właśnie rysuje się więź serdeczna z S. Wasylewskim. Jednakże Szolginia zna Lwów lepiej: opowiada nam detal, anegdotę, fakty, które powodują, iż żal opuszczenia potęguje się niepomniem. Wiedzieć i być, oto uczucie, które ogarnęło mnie podczas pierwszego czytania. Książka zachęca do podróży w tamtą stronę. Nie tylko nas lwowian, ale każdego kto po nią sięgnie. Wyłania się

pytanie: czy jest to książka także dla nie lwowian. Ależ tak. Nawet bardziej, niż jakakolwiek inna traktująca o Mieście pod Kopcem. Nie jest hermetyczna ani treścią, ani językowo, a to przecież walor niepośledni dla każdego czytelnika. No i jak żadne inne współczesne dzieło o Lwowie — jest sugestywna. Lecz sugestią opłacalną, sprawdzalną. Sam tego doświadczyłem wiodąc we wrześniu br. do Lwowa gromadę licealistów z Nowego Sącza. Uczniów, którym nie obce są już zagraniczne wojaże. Na zachód Europy. Ich spontaniczne wędrowki po dziennym i nocnym (!) Lwowie, gdy wie się o nim tylko niewiele, były odpowiedzią na magnetyzm Miasta. To przyciąganie jest także na stronicach sześcioksięgu W. Szolginia. Przewiduję ponadczasowość dzieła.

Łatwo się zorientować, że słowa moje nie są recenzją „Tamtego Lwowa”. Tomy weszły już do powszechnego obiegu i zapewne doczekają się rzetelnego krytycznego opracowania. Moja łyczakowska z

Autorem proveniencja pisania o dziele nie ułatwia, bo wspomniany już poprzednio subiektywizm, który jest nieuleczalny, przeszkadza mi w poszukiwaniu czegośkolwiek co mogło być odczytane krytycznie. Ale czy wyłanianie wśród omawianego tekstu tego co jest na „nie”, uda się komukolwiek? W to wątpię. Książka, choć napisana z potrzeby serca, nie będzie służyć ku jego pokrzepieniu. Bo nie może i to nie z winy Autora. Będzie natomiast syć naszą nostalgię za krajem lat dziecińczych, za kresową ojczyzną. I nie wstydzmy się, że i my jesteśmy zakażeni chorobą na którą zapadł Autor: „Leopolitis acuta”, tylko, że w Jego przypadku gradus ciężkości schorzenia potrzeba zmienić: „acutissima” Panie Witoldzie i to z łyczakowską wysypką!

Nowy Sącz, w listopadzie 1994

^{*)} Witold Szolginia „Tamten Lwów” — Oficyna Wydawnicza „SUDETY” Wrocław 1992-1994. Tom I „OBLICZE MIASTA”, t. II „ULICE I PLACCE”, t. III „ŚWIĄTYNIE, GMACHY, POMNIKI”, t. IV „MY, LWOWIANIE”, t. V „ŻYCIE MIASTA”, t. VI

WOŁYŃ WOŁA:

POMÓŻCIE DŹWIGAĆ POWALONY KRZYŻ CHRYSZTUSOWY

Przez pół wieku Kościół rzymskokatolicki na Kresach Wschodnich był w niewoli. Włączony w granice ZSRR obszar od Wilna po Stanisławów poddano ostrej ateizacji, represjonowano ludzi wierzących, a świątynie były świadomie dewastowane bądź zamieniane na magazyny, warsztaty, sale sportowe.

Już 4 lata pracuję jako kapłan na Wołyniu. Organizowałem życie religijne w Ostrogu, Korcu, Zdobunowie, Kłewanu, Kostopolu. Od połowy 1992 r. jestem proboszczem w Równem, gdzie po wielu tygodniach zmagania z urzędami, po modlitewnym pikietowaniu w dzień i nocy dawnego kościoła garnizonowego, odzyskaliśmy go dla służby Bogu i ludziom. Był w stanie katastrofalnym, jak zresztą większość odzyskanych świątyń. Niektóre z nich budzą rozpacz, jak na przykład słynny niegdyś kościół w Tajkurach: porozbijane ściany, walące się sklepienie, wyrwane drzwi i okna, bez posadzki... Przesycone środkami chemicznymi mury (kościół był składowiskiem nawozów sztucznych) nie dają nadziei na jego uratowanie. Żeliwna tablica w ścianie obwieszcza ironicznie: pamiątek architektury... Chaszciami zarosnięty jest nie tylko teren wokół kościoła, ale także jego ścia-

ny, ocalałe fragmenty stropu, a położony nie opodal cmentarz przypomina żałosne pobojowisko.

Dla odmiany, w położonym z drugiej strony Równego Kostopolu nie ma śladu po dawnym kościele. Na jego fundamentach pobudowano kotłownię. Przymierzamy się do budowy od podstaw kościoła na nowym miejscu, gdyż odprawiana w prywatnym domu niedzielna Msza św. jest prowizorką, która nie może zastąpić normalnego duszpasterstwa.

Czy w czasie biedy, którą tutaj widać „gołym okiem”, jest pora na budowanie, remontowanie świątyń? Ludziom nieżyczliwym Kościołowi, a tych ostatnio ujawniło się dość dużo, pragnę wyjaśnić, że jest to pierwsza tęsknota spragnionych Boga ludzi tu mieszkających. Nadto trzeba powiedzieć, że każdorazowe pojawienie się na danym terenie księdza, otwarcie świątyni, to nie tylko reanimowanie kultu religijnego, ale także odrodzenie życia narodowego Polaków. Na ogół bowiem idzie za tym prasa katolicka, polska książka, polska pieśń. Potem przychodzi nauka języka ojczystego, wymiana kulturalna i oświatowa, osobiste kontakty poprzez kolonie, wycieczki. To budzenie świadomości narodowej, ale także budowanie zgody

między żyjącymi tu narodowościami wymaga wiele trudu, cierpliwości i — co ogromnie ważne — roztropności.

Przez minione 4 lata nieźle poznałem problemy tutejszej Polonii. Najważniejszy z nich to brak księży i sióstr zakonnych. Odległości między kapłanami, którzy przyjechali z Polski i tu podjęli pracę, wynoszą dziesiątki, a nawet setki kilometrów. Stąd prośba: przyslijcie nam księży i siostry, którzy pomogą w budowaniu Królestwa Bożego na Kresach!

Drugi problem, z którym się borykam, to brak środków finansowych na odbudowę świątyń. Ludzie, którym przyszło tu żyć są biedni i własnymi siłami niewiele zdziałamy, bowiem spustoszenie uczynione przez szatana jest niewyobrażalne.

Dlatego zwracamy się do ludzi wrażliwych, by otworzyli swoje serca na wołanie braci ze Wschodu: pomóżcie podnieść powalony Krzyż Chrystusowy! Pomóżcie Polakom odłączonym przez los od ojczyzny! Liczymy na to, że nawet w czasach najtrudniejszych (a czas współczesny do łatwych nie należy) znajdą się szlachetne serca, które z głęboką wiarą zechcą złożyć ofiarę Panu Bogu. W nagrodę „miarę dobrą, natłoczoną, utręśioną i opływającą wspaniały w zanadrze wasze” (Łk 6, 38).

Tym, którzy zechcą nam pomóc podają nr konta, na które można wpłacać ofiary:

Społ. Komitet Pomocy Parafii Ręk. kat. w Równem, ul. Kopernika 49,
23-300 Janów Lubelski,
BDK O/Janów Lub. 338217-52517-132.

Bóg zapłać za wszystko, co nam czynicie przez modlitwę, cierpienie i ofiarę.

ks. kan. Władysław Czajka
Równe

Nie ulega wątpliwości, że wiele publikacji o tematyce kresowej, drukowanych na łamach czasopism, uchodzi naszej uwadze. Wprawdzie redakcja „Semper Fidelis” już od pierwszego numeru, w kolejno wprowadzanych działach („Problematyka lwowska i kresów południowo-wschodnich w prasie polskiej”, „Recenzje”, „Z prasy”, a ostatnio w rubryce „Wśród książek i czasopism”) stara się informować o nowościach wydawniczych, jednak ze zrozumiałych względów trudno jest w krótkim omówieniu zaprezentować wszystkie publikowane prace.

Ci nieliczni, którzy wiedzą o istnieniu wydawnictwa „Bibliografia Zawartości Czasopism” (BZC) i przeglądają je, też nie mają pełnego rozeznania, gdyż nie wszystkie redakcje przesyłają tam swoje pisma dla odnotowania ich zawartości.

Tematyka kresowa w miesięczniku „Spotkania z Zabytkami”

TADEUSZ KUKIZ

Jednym z nielicznych czasopism, które Kresom poświęcają sporo miejsca są „Spotkania z Zabytkami”. Pismo to ukazuje się od 1977 r., początkowo nieregularnie, od 1983 r. jako kwartalnik, od 1986 r. — dwumiesięcznik, a od 1992 r. jest miesięcznikiem.

Tematyka kresowa pojawiła się w nim dopiero w 1985 r., w dziale „Polskie zabytki na świecie” nr 20. Zainicjował ją — Stanisław S. Nicieja artykułem „Dzieła Juliana Markowskiego we Lwowie”, w którym omówił najważniejsze pomniki tego rzeźbiarza na Łyczakowskim Cmentarzu (po kilku latach, w numerze 52, przypomniał dzieła innego, wybitnego rzeźbiarza lwowskiego, Piotra Wojtowicza). Do sprawy Cmentarza Łyczakowskiego redakcja Spotkań z Zabytkami powróciła w 1988 r. (40) omawiając artykuł, jaki ukazał się na ten temat w tygodniku „Kultura i Życie”, organie Ministerstwa Kultury USRR, informujący o działaniach zmierzających do ratowania cmentarza. Jak widać, jeszcze wówczas łatwiej było podjąć „trudny” te-

mat powołując się na tekst pochodzący z Kraju Rad; redakcja Spotkań z Zabytkami postulowała udział także strony polskiej w porządkowaniu lwowskich cmentarzy.

W kolejnym numerze (41) wydrukowano artykuł znanego Kresowiakom historyka, redaktora nie wychodzącego już, niestety, pisma „My na Wschodzie”, Tadeusza M. Trajdosa, o katedrze łacińskiej we Lwowie, bogato ilustrowany, również barwnymi reprodukcjami.

W ostatnim numerze z 1989 r. (46) redakcja wprowadziła dział „Spotkania na Wschodzie”; od tego czasu prawie stale w piśmie pojawia się 1 do 3 artykułów o tematyce kresowej, w większości dotyczących Kresów Południowo-Wschodnich. Na początek przedrukowano rozdział pierwszy ze znanej książki Stanisława Wasylewskiego „Lwów” (z cyklu „Cuda Polski”), a zilustrowano reprodukcjami z wystawy z 1988 r. — „Lwów na dawnej fotografii”. Tekstowi temu przydał aktualności, zamieszczony obok, artykuł Tadeusza M. Trajdosa „Zabytki

Lwowa oczekują pomocy”.

Artykuły o tematyce lwowskiej ukazują się w Spotkaniach z Zabytkami dość często. W numerze 51 Alojzy Karpiński przypomniał obronę Lwowa w listopadzie 1918 r. i historię powstania Grobu Nieznanego Żołnierza, a Szczepan Rudka pisał o Cmentarzu Janowskim (69). Ukazały się też dwa artykuły o kościele św. Elżbiety autorstwa Krzysztofa Stefańskiego oraz Tadeusza M. Trajdosa (48 i 65) i tekst Adama Maruszaka o kaplicy Boimów (71). Obszerny artykuł o lwowskiej rzeźbie barokowej, przypominający dzieła Pinsla i Osińskiego, m.in. ze Lwowa, Buczacza, Horodenki i Hodowicy, ogłosił Antoni Maśliński (74).

Dzieje konkursu na lwowski pomnik Adama Mickiewicza i etapy jego realizacji przedstawił Aleksander Srebrakowski (63). O pomniku Jana III i jego powojennej wędrówce pisał Michał Prószyński (31), a o popiersiu Kornela Ujejskiego z ulicy Akademickiej i przeniesieniu go do Szczecina wspominał autor niniejszego przeglądu w artykule „Pogrzeb Ujejskiego” (69). O pomnik generała Józefa Dwernickiego w kościele OO. Karmelitów Trzewickich we Lwowie, dzieło Parysa Filippiego, upomniał się Tadeusz M. Trajdos (61). Pomnik ten choć zniszczony, nadawał się jeszcze do konserwacji; w niewyjaśnionych okolicznościach „zniknął”. Sprawcą zajął się polski konsul i według informacji, jakie uzyskał, pomnik ma znajdować się w podziemiach kościoła, a po konserwacji wrócić na miejsce (72).

Kiedy pod koniec czerwca 1994 r. byłem we Lwowie, stwierdziłem, że inny zabytek w tym kościele — epitafium Felicji Boberskiej, zasłużonej dla tego miasta — został poddany osobliwej „obróbce”, mianowicie zatarto na nim polską inskrypcję, a alegoryczną płaskorzeźbę przedstawiającą miłość ojczyzny zasłonięto cerkiewnym obrazem. Na moje pytanie, dlaczego to zrobiono, jeden z obecnych w kościele zakonników odpowiedział, że jest to rewanż za „sprawę przemyską”.

Cieszy, że redakcja Spotkań z Zabytkami dostrzegła rolę, jaką w ratowaniu polskich cmentarzy we Lwowie i okolicy (Hołosko, Zboiska, Jaśniska) odegrał inż. Józef Bobrowski, dyrektor lwowskiej bazy „Energopolu” i w krótkiej informacji odnotowała fakt odznaczenia go przez

dokończenie ze str. 29

Tematyka kresowa w miesięczniku „Spotkania z Zabytkami”

Ministra Spraw Zagranicznych Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (67).

W Spotkaniach z Zabytkami znaleźć można teksty o wielu kresowych miejscowościach. Ukazały się 4 artykuły o Drohobyczu (49, 54, 55 i 62), omawiające historię miasta (Lidia Bruszeńska) i jego zabytki, zwłaszcza tamtejszej fary (T.M. Trajdos i Janusz Smaza). Ci dwaj autorzy pisali również o zabytkach żółkiewskiej kolegiaty i odnawianiu jej wystroju wewnętrznego, głównie rzeźbiarskiego (49 i 64).

Zwięzłe informacje o historii najważniejszych polskich zabytków w wielu kresowych miejscowościach podał Ryszard Brykowski w trzyczęściowym, bogato ilustrowanym cyklu, pt. „Powroty” (53, 54 i 65). W części pierwszej przypomniał m.in. kościół w Białym Kamieniu koło Złoczowa, fundowany przez Wiśniowieckich (obecnie mieści się w nim filia Lwowskiej Galerii Obrazów), klasztor i kościół Kapucynów w Olesku (zamienione na magazyn rzeźb i obrazów), zamek w Podhorcach (teraz sanatorium przeciwgruźlicze) i kościół w Złoczowie. W drugiej podał rys historyczny zespołów kościelno-klasztornych w Podkaminie, Poczajowie, Krzemieńcu i Zbarażu oraz kościoła Dominikanów w Tarnopolu i pałacu w Wiśniowcu. Trzecią część cyklu poświęcił zabytkom kilku miejscowości zabrucańskiego Podola (m.in. kościołom w Latyczowie, Barze i Jarmolińcach).

Szersze informacje o poszczególnych miejscowościach można znaleźć w osobnych, poświęconych im artykułach, np. o Podhorcach w nr. 42, o Olesku w nr. 47 (autor: Ryszard Brykowski) i w 72, w którym są także wiadomości o Świrzu (autor: Alfred Majewski), o Stanisławowie — w nr. 58, Kołomyi — w 61, o Łopatynie w nr. 63, o Kamieńcu Podolskim w nr. 66, o Jaremczu i Worochcie — w 67 i o Chocimiu w nr. 74. Artykuły te pisali różni autorzy.

Szczególnie płodnym autorem Spotkań z Zabytkami jest od półtora roku Zbig-

niew Hauser; przemierzał on południowo-wschodnie Kresy miejscowymi autobusami i autostopem, nocując w przygodnych domach i zwiedzając w warunkach, na jakie — zważywszy sytuację na Ukrainie — niewielu by się chyba zdecydowało. Efektem tych peregrynacji są nie tyle publikacje o charakterze popularno-naukowym, ile teksty zbliżone do reportażu, w których autor skupia się głównie na obecnym stanie tamtejszych polskich zabytków. Pierwszym jego tekstem w omawianym piśmie był artykuł o Warężu (73), położonym koło Sokala, miejscowości zwanej dziś Nowoukraińką. Artykuł ten — z uwagi na niedopowiedzenia — skłonił mnie do napisania krótkiego tekstu uzupełniającego (77).

Kolejne publikacje Hausera, to artykuł o pobliskim Uhnowie (74), o Brodach (76), o zamku w Brzeżanach (77), Busku (79), Podkaminie (80), o położonych w widłach Zbrucza i Dniestrza Okopach św. Trójcy (84) oraz o Bołszowcach ze słynnym sanktuarium maryjnym (91). Kilka artykułów poświęcił miejscowościom na Wołyniu: Zasławiu (83), Sławucie (86) i Międzyrzeczu Koreckiemu (88).

Niektóre tematy wołyńskie podejmowali również inni. O związkach Kraszewskiego z Wołyniem (59) i fabryce porcelany w Korcu (67) pisał Mirosław Narbutt; o bitwie pod Kostiuchnowką i usypanym tam kopcu na cześć poległych oraz pamiątkowych słupach z zachowanymi do dziś inskrypcjami przypominającymi pobyt Piłsudskiego — Zbigniew Pruski (81), a o ostatnim na Wołyniu, drewnianym kościele w Wiszence — Ryszard Brykowski (87). Historię i stan obecny cmentarza w Krzemieńcu opisał Szczepan Rudka (88). Nie zapomniano też o stolicy Polesia — Pińsku (78).

Wiele miejsca poświęcono w omawianym piśmie pomnikom. Wspominałem już o pomnikach lwowskich, ale pisano także o pomnikach w innych miejscowościach: Piłsudskiego w Tarnopolu (50), Mickiewicza w Stanisławowie (58), Karola Lipińskiego w Urłowie (59 i 86),

Chrzanowskiej, bohaterskiej obrończyni miasta, w Trembowli (68) i Słowackiego w Krzemieńcu; mego autorstwa jest artykuł o zborowskich pomnikach (86).

Jeszcze parę zdań o sprawie, która od kilku lat jest moją pasją — o kresowych obrazach Matki Boskiej, przywiezionych po wojnie na teren dzisiejszej Polski. Pisuję o nich w różnych pismach pragnąc rozpowszechnić informacje, skąd pochodzą, jakie są ich dzieje, gdzie są przechowywane. Czynie to dlatego, że obrazy te są jedną z najcenniejszych pamiątek z miejsc naszego pochodzenia, obiektami kultu, przed którymi modlili się nasi ojcowie i dziadkowie. Dlatego też i w Spotkaniach z Zabytkami nie mogło zabraknąć o tym artykułu (78). Mój pogląd podzielają również inni: o „swoim” obrazie — Madonnie z Kołomyi — pisał w tym miesięczniku Ryszard Brykowski (82).

W niniejszym artykule nie wymieniłem wszystkich tematów kresowych, a jest tego sporo. Toteż gorąco zachęcam do czytania Spotkań z Zabytkami.

Tadeusz Kukiz

Prawdziwym patriotą jest ten, który nie ze wszystkiego jest zadowolony w swej ojczyźnie, to człowiek, który pragnie i walczy o to, by w niej było lepiej.

/Karol Dickens/

Pamiętaj, że twoje swobodne i wolne od zajęć chwile obciążone są największymi zadaniami i odpowiedzialnością.

/Św. Augustyn/

Nie pytajmy, co może zrobić dla nas ojczyzna. Pytajmy, co my możemy dla niej uczynić.

/John Fitzgerald Kennedy/

Kto potyka się z niegodnymi, nie odnosi zwycięstw.

/Adam Wanke/

Polaków nie zdobywa się groźbą, tylko sercem.

/Stefan Wyszyński/

Powstanie i zagłada wsi Ostoja

(suplement)

EGENIUSZ DMYTRÓW

W nrze 4(10)1991 Semper Fidelis ukazał się artykuł pod tym tytułem. Zagłada polskiej wsi kresowej nastąpiła w wyniku wywiezienia mieszkańców w dniu 10.02.1990 r. i późniejszym, permanentnym niszczeniu pozostałej infrastruktury. Z wiadomych przyczyn nie można było odwiedzać tych terenów w okresie 1944/45 a i później. W związku z tym nie był

znany faktyczny stopień zniszczenia wsi.

Dopiero we wrześniu 1994 r. dwaj, wspomniani w artykule muzycy — filharmonicy, Tadeusz i Władysław Kuśnierowie, wraz ze swym stryjem Stanisławem udali się do Stanisławowa z zamiarem odwiedzenia rodzinnej wsi. Zamierzenia swe zrealizowali z pewnymi trudnościami, bowiem Polacy ze Stanisławowa od-

radzali wynajęcie taksówki, jako zbyt ryzykowne. I właśnie jeden z Rodaków zawiózł ich własnym samochodem do wsi Ostoja, a raczej na miejsce, gdzie wieś kiedyś była. Trafili tam bez trudu. Już po drodze stwierdzili, że dwór i zabudowania Armii Horodyskiej w Komarowie uległy całkowitej likwidacji. Ze wsi Ostoja pozostała tylko droga. Sady zostały wykarczowane, budynki mieszkalne i gospodarcze rozebrane łącznie z fundamentami, zniszczono studnie. Cmentarz zamienił się w gąszcz krzewów. Zachowały się wyjątkowo ślady po dwóch grobach. Również potok, biegnący po obrzeżach wsi, stał się nieprzebytym, zarośniętym parowem. W miejscu wydajnych sadów i urodzajnych pól pszenno-buraczanych są teraz pastwiska i ugory. Tak realizowana jest obecnie kultura rolna i postępowanie cywilizacyjny.

APELE ● APELE ● APELE ● APELE ● APELE ● APELE I APELE ● APELE

Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddziału w Przemyśle

Członkowie naszego Towarzystwa z niepokojem i troską obserwują narastającą falę dezinformacji i manipulacji na temat rzekomych konfliktów narodowościowych w Przemyśle.

Przy okazji wyrażane są sady i opinie uwłaczające godności mieszkańców miasta, a sprawy dotyczące tytułu własności niektórych obiektów są naświetlane jednostronnie i tendencyjnie, często sztucznie wyolbrzymiane.

Członkowie naszego Towarzystwa są synami i córkami społeczności kresowych II Rzeczypospolitej, gdzie tolerancja i współżycie wielu narodowości tworzyły wielkie wartości ogólnoludzkie, zaś wszelkie nacjonalizmy przynosiły okrutne żniwo zbrodni i nienawiści.

Dlatego jesteśmy żywotnie zainteresowani w budowaniu społeczności ludzi dobrej woli, opartej na prawdzie i sprawiedliwości.

Niestety działalność wielu środków przekazu goniących za sensacją i zyskiem — zdecydowanie szkodzi tej wielkiej sprawie. Z bólem stwierdzamy, że:

- nieprzejednana postawa mniejszości ukraińskiej w sprawie zwrotu budynków
- brak wzajemności ze strony Państwa Ukraińskiego, zwłaszcza na terenie Lwowa
- niekompetentne stanowisko kolejnych Rządów R.P. oraz
- zacietrzewienie niektórych osób utrudniających przeprowadzenie tych trudnych spraw w duchu porozumienia i dobra wspólnego.

Oczekujemy od wszystkich przedstawicieli mass-mediów rzetelnych i zgodnych z prawdą relacji z naszego miasta, a od stron konfliktu zaniechania partykularnych, nakierowanych na interesy własnej nacji, narodu czy stanu działań.

Uważamy za konieczne podjęcie wysiłków na rzecz dobra wspólnego wszystkich obywateli miasta oraz przywrócenie Przemyślowi dobrego imienia na jakie przez swoje 1000 letnie dzieje zasłużył.

Zarząd i Członkowie
Towarzystwa
Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich
w Przemyśle

W tym roku minęło 150 lat od daty powstania Politechniki Lwowskiej. Uczelnia ta, będąca pierwszą uczelnią techniczną na ziemiach polskich, przez 100 lat trwała w służbie polskiego społeczeństwa, nauki i techniki polskiej, ugruntowując swą dobrą sławę jako kuźnia myśli naukowej i postępu. Rocznicą ta nie powinna zatem minąć w Polsce bez echa.

Ze świadomości takiej zrodziła się propozycja, aby przy współudziale wrocławskich stowarzyszeń naukowo-technicznych, Politechniki Wrocławskiej,

Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego oraz innych instytucji związanych w różny sposób z Politechniką Lwowską zorganizować Okolicznościową Sesję Naukową z okazji 150-ej rocznicy powstania Politechniki Lwowskiej. Na Sesji tej przedstawione byłyby referaty lub wypowiedzi historyczno-dokumentalne, a także o charakterze wspomnień osobistych. Sesja miałaby również charakter spotkania towarzysko-koleżeńskie, połączonego z prezentacją wydawnictw pamiątkowych i historycznych oraz różnego

rodzaju pamiątek i dokumentów.

W związku z tym zwracam się z apelem o zgłaszanie swego uczestnictwa oraz materiałów lub tematów ewentualnego wystąpienia. Sesja miałaby się odbyć na przełomie marca i kwietnia 1995 r.

Zgłoszenia uczestnictwa oraz tematu ewentualnego wystąpienia prosimy zgłaszać do 15. stycznia 1995 roku na adres:

prof. dr hab. Ryszard Sroczyński
ul. Ł. Górnickiego 33 m 12
50-337 Wrocław

KARPATY W TWÓRCZOŚCI POLSKICH FOTOGRAFIKÓW

Muzeum Historii Fotografii w Krakowie przygotowuje wystawę fotograficzną poświęconą wybitnym artystom fotografii, których zawodowo interesowały Karpaty Wschodnie. Zbiory muzealne i prywatne kolekcje zawierające takie fotografie, w wyniku późniejszych działań wojennych i wydarzeń historycznych, uległy rozproszению i zagubieniu.

Dlatego też zwracamy się z gorącym apelem o wszelkie informacje na temat powojennych losów fotografii (oryginalnych — autorskich zdjęć, negatywów) następujących fotografików:

J. Solak

B. Solak

A. Pragulski

T. Dohnalik

E. Olszaniecki

S. Bialikiewicz

Edward Romer

Informacje prosimy kierować na adres:

MUZEUM HISTORII FOTOGRAFII
30-045 KRAKÓW
ul. Józefitów 16

Wystawa

„KARPATY w TWÓRCZOŚCI POLSKICH FOTOGRAFIKÓW”

Stanisław Teisseyre

Andrzej Teisseyre

M. Śeńkowski (Semkowski)

R. Mikolaszowa

Jan Jaroszyński

K. Kluczyński

APEL

Jestem studentem V roku historii sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim i przygotowuję pracę magisterską poświęconą kościołowi klasztoru OO. Bernardynów w Zbarażu. Poszukuję zdjęć archiwalnych wnętrza kościoła zbaraskiego — sprzed drugiej wojny światowej. Szczególnie potrzebne są fotografie ołtarzy bocznych, poszczególnych rzeźb — pragnę bowiem zrekonstruować pierwotny wygląd i program ikonograficzny wnętrza. Gwarantuję zwrot materiałów po ich wykorzystaniu.

Mój adres:

Instytut Historii Sztuki UJ
ul. Grodzka 53
31-001 Kraków

Z poważaniem

Andrzej Betlej

APEL

Jestem studentką V roku pedagogiki na KUL-u i piszę pracę magisterską pt. „Ksiądz Jan Ciemniowski jako wychowawca i działacz społeczny”. Zwracam się z gorącą prośbą o pomoc w zdobyciu materiałów na temat jego działalności.

Ksiądz Ciemniowski (1866-1947) po powrocie z USA od roku 1896 pracował jako Katecheta w Stanisławowie i Tarnopolu, a od 1902 r. we Lwowie, gdzie był m.in. założycielem Koła Polskiej Ligii Przeciwalkoholowej. W latach 1939-45 pracował w duszpasterstwie parafialnym we Lwowie.

Będę wdzięczna za wszelkie informacje o nim.

S.M. Jakuba Stoltmann OP
Zgromadzenie Sióstr św. Dominika
39-400 Tarnobrzeg



Nasi czytelnicy piszą

Pan Edward Łobaza przysłał nam fotografię Kościoła rzymsko-katolickiego pod wezwaniem Św. Stanisława w Żurowie, pow. Rohatyn, woj. stanisławowskie. Tam się urodził, a w liście podał informacje o tym miasteczku „Żurów został założony na mocy przywileju Króla Zygmunta Starego przez Michała Daniłowicza na prawie magdeburskim w 1510 roku. Był tu również kiedyś zamek obronny gdyż Żurów położony był na szlaku walk polsko-tureckich. Miasteczko było polsko-rusko-żydowskie, obok kościoła i klasztoru SS Dominikanek była cerkiew i synagoga.”



Kościół rzymsko-katolicki pod wezwaniem Św. Stanisława w Żurowie pow. Rohatyn

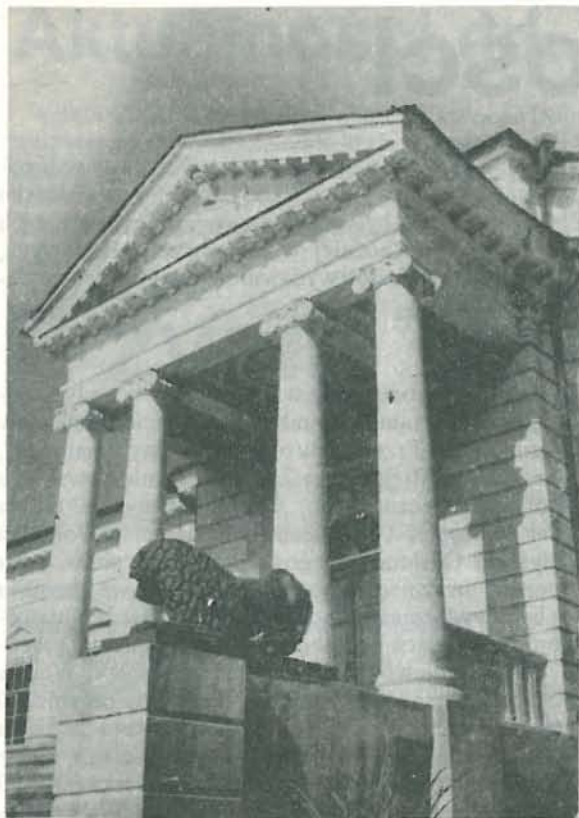
Dziadkowie moi kupili w Żurowie w 1928 r. 25 morgów ziemi z parcelacji b. majątku Władysława Grabskiego, premiera i twórcy reformy walutowej w Polsce. Nabywając posiadłość staliśmy się później w rozumieniu uchwały z 29.12.1939 r. rządu radzieckiego osadnikami, wrogami klasowymi, których należało się pozbyć. Przeprowadzony w grudniu 1939 roku przez milicję ukraińską spis ludności okazał się rejestrem osób prze-

widzianych do deportacji. Moja rodzina poszła na pierwszy ogień. 10.02.1940 roku wywieziono nas wszystkich, dziadków, rodziców, stryjostwo, mnie i brata. Po 3 tygodniach makabrycznej podróży wysadzono nas w tajdze w obwodzie Świerdłowskim w „lesopunkcie” Krutojary, rejon Pyszmy. W ciągu kilku miesięcy zmarli moi dziadkowie, najmłodszy brat — 2 miesięczny Aleksander oraz moja zaledwie 33-letnia Matka. Stryj zdołał

ostatkiem sił dotrzeć do Armii Andersa, Ojciec poszedł do Armii Berlinga i zginął tragicznie od wybuchu miny.

Ja z bratem i ciotką, która się nami opiekowała, przyjechaliśmy do Polski w marcu 1946 roku — mieliśmy za sobą głód, zimno, tyfus i utratę najbliższych.

W latach 1957-62 studiowałem na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim na Wydziale Humanistycznym, który ukończyłem uzyskując magisterium z historii.



Samczyki, pałac



Talne, kościół

Z dalekich Czerkasów na Ukrainie otrzymaliśmy list od p. Lwa Chmielkowskiego, prowadzącego audycję „Głos Polski” w tamtejszym radiu. Oto bardzo interesujące fragmenty z jego listu:

„W centrum Ukrainy nad rzeką Górski Tykicz leży stare miasteczko Talne. Kiedyś tu przebiegał trakt pocztowy z Kamieńca Podolskiego do Chersonia. W 1863 roku było tu 5275 mieszkańców, większość prawosławni i 251 rzymskich katolików. Pozostałością po katolikach, przeważnie Polakach jest ruina kościoła katolickiego. W 1725 roku właścicielami tych dóbr byli Orańscy, potem Kalinowsy a kiedy już przeszli do Potockich w historii Talnego pojawiły się nazwiska rosyjskie bo córki Potockich wyszły za mąż za generałów rosyjskich ... W kościele w latach ostatnich była wylęgarnia piskląt a teraz jest warsztat kamieniarski. Niepodległość Ukrainy przyniosła nikłą nadzieję na powrót kościoła. Walczy o to miejscowy malarz Andrzej Kułagin. Już wpuszczono katolików na msze św. do kącika w kościele ... W Samczykach jest pałac — pozostałość polskiego pobytu w południowym Wołyniu. W pobliskim Starokonstantynowie po wojnie rosnę w domu dziecka i pewnego lata byliśmy wywiezieni do majątku w Samczykach na kolonie. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem ten pałac. Wybudowano to cacko na

przełomie XVIII/XIX wieku ... Wszystko to stracił Piotr Czeczeli jako powstaniec polski 1863 roku w wyniku konfiskaty. Samczyki stały się nabytkiem Rosjan — Ugrimowych, Szestakowych. Teraz w majątku ośrodek doświadczalny. Jednak mamy tu dzielnego człowieka walczącego o odrodzenie wnętrza pałacowych. Jest nim malarz polskiego pochodzenia Aleksander Pażymski ... Tymoszwówka, wieś Karola Szymanowskiego ... O Karolu pamięta inteligencja wiejska ... Jest izba pamiątkowa. W izbie stoi fortepian z tej epoki, jednak nie Szymanowskich. Na nim widoczna sylwetka Mozarta a świeczniki skradziono. Jest parę drobnostek z domu oraz pewność, że wieś trzyma rzeczy zrabowane w 1920 roku przy okazji wyjazdu Szymanowskich ... Można to wykupić tylko kto zapłaci. Nad stawem widoczne wiśnie Szymanowskich. W nasze czasy podobno z Szymanowskich ktoś tu przyjeżdżał (dwie panie) ... Do nadawanej z Czerkas audycji „Głos Polski” listów przychodzi mało, jednak każdy wzruszający. Oto fragment listu Walentyny Osieńskiej z miasta Smiła: z eteru słyszę język ojców, pieśni polskie ... Bardzo wdzięcz-

ni wam za te wzruszające chwile. To jaki balsam dla serc audycja polska. Zazdrościmy Rosjanom — mają w Ukrainie i telewizję i dzienniki. A czy Polaków mniej w tym kraju? Cała różnica — kiedy jesteś Rosjaninem, to masz wszystko, a kiedy Polakiem to milcz. Dlatego tyle Polaków zapisane jako Ukraińce, żeby przetrwać ... Kiedyś Smiła miała piękny kościół, który teraz zapomniany ginie ... Znam w Smile wielu Polaków, starsze kobiety mają książki polskie, wydane w ubiegłym wieku, w tym opowieść w której wspomniana jest Smiła. Jednak te panie już starsze nie mają gdzie pomodlić się, gdzie porozmawiać. Już przyszedł czas na zjednoczenie Polaków. Mam na myśli zorganizowanie przy szkole kółka języka polskiego, kierownictwo szkolne na to przystaje. Proszę przekazać o tym do bratnich dusz w Polsce, niech piszą do naszych dzieci w języku polskim, ja naszym przeczytam a z moją pomocą zaczną pisać do polskich rówieśników.”

Od redakcji. Niech ten apel Polki nie zostanie bez echa. Oto adres tej Pani:

Walentyna Osieńska
Smiła, Ukraina, ul Czajajewa 4/45

Aktualności

W dniach od 4 do 6.11.br. odbył się VII Zjazd — Sympozjum Wychowanków Wydziału Architektonicznego Politechniki Lwowskiej, specjalnie uroczysty związany ze 150-leciem rocznicą jej utworzenia we Lwowie. Patronat nad uroczystością objął J.M. Rektor Politechniki Śląskiej w Gliwicach (gdzie odbywał się Zjazd) prof. dr hab. Wilibald Winkler. W skład Komitetu Organizacyjnego wchodziła architektka: Jan Boberski, Alfred Golnik, Lesław Hawling, Irena Madurowiczowa, Franciszek Maurer, Wojciech Migocki, Tadeusz Teodorowicz-Teodorowski, Longin Ziemiński. Po powitaniu uczestników Zjazdu przemówienia wygłosili J.M. Rektor, Prezes Z.O. SARP mgr inż. arch. A.Gałkowski oraz w imieniu TML i KPW, członek Zarządu Głównego mgr inż. arch. L.Hawling. Wygłoszono referaty m.in. mgr inż. arch. Jana Boberskiego „Droga do samodzielnego Wydziału Architektury Politechniki Lwowskiej”, który jest również autorem interesującej, pięknie opracowanej graficznie publikacji „150-lecie powstania Politechniki Lwowskiej 1844-1994”.

Sympozjum towarzyszyła Wystawa w budynku Biblioteki Głównej Politechniki Gliwickiej dokumentująca prace wybitnych architektów lwowskich m.in. A.Szysko-Bohusza, Wł.Sadowskiego, T.Talowskiego, J.Sas-Zubrzyckiego, T.Obmińskiego, J.Bagieńskiego, W.Minkiewicza, M.Osińskiego. Spotkania koleżeńskie i dyskusje podczas nich nawiązywały często do niezapomnianej nigdy atmosfery naukowej i życia akademickiego na Politechnice Lwowskiej.

Zarząd Główny TML i KPW dziękuje serdecznie uczestnikom Zjazdu, którzy ofiarowali następujące kwoty na cele pomocy starym, samotnym Polakom we Lwowie

1. Kopczyński R.	— 100 dol. USA
2. Piastowska E.	— 100.000 zł
3. Boberski J.	— 100.000 zł
4. Teodorowicz-Teodorowski	— 100.000 zł
5. Madurowiczowa Z.	— 100.000 zł
6. Ingarden J.	— 100.000 zł
7. Zbiegień K.	— 100.000 zł
8. Juchnowicz S.	— 100.000 zł
9. Ziemiński L.	— 100.000 zł
10. Macowicz B.	— 100.000 zł
11. Fuliński J.	— 100.000 zł
12. Koziczuk St.	— 100.000 zł
13. Migocki W.	— 50.000 zł
14. Hawling L.	— 100.000 zł
15. Karasiński K.	— 100.000 zł
16. Golnik A.	— 100.000 zł
17. Trocki R.	— 100.000 zł
18. Osiński A.	— 100.000 zł
19. Wajdzik Cz.	— 100.000 zł
20. Maurer Fr.	— 50.000 zł
21. Hiolska M.	— 100.000 zł

Zebrana kwota przekazana została do Lwowa na ręce p. Janiny Zamojskiej z Komisji Charytatywnej przy Katedrze rzymskokatolickiej.

Myśl zorganizowania Zjazdów Wychowanków Wydz. Architektonicznego Politechniki Lwowskiej zrodziła się na początku lat 80-tych w Katowickim Oddziale SARP, gdzie wśród jego członków bardzo wielu wywodziło się z lwowskiej uczelni. Od pomysłu prędko przeszło do czynu — I Zjazd odbył się w

Tucznie (1983), 2-gi we Wrocławiu (1985), 3-ci i 4-ty w Kazimierzu (1987, 1989), 5-ty w Gliwicach (1991), 6-ty w Gdańsku (1993). Zjazdy połączone były zawsze z sesją referatową, a ich przebieg wydawany był później w materiałach zjazdowych, wzbogacając tym samym zasób wydawnictw związanych z dziejami nauki lwowskiej.

W dniach 10-11.11.br. odbyły się w Przemyśle Obchody Święta Niepodległości. Program zawierał m.in. otwarcie wystawy w Muzeum Narodowym „Przemysł w okresie I wojny światowej”, uroczystą Sesję Rady Miejskiej na Zamku Kazimierzowskim z wykładem dr. Z.Koniecznego pt. „Orleńskie Przemyskie, Orleńskie Lwowskie” i uroczystości związane z odsłonięciem Pomnika Orląt Przemyskich. Odsłonięcie tego pomnika (jego pierwowzór został zniszczony przez nacjonalistów ukraińskich we wrześniu 1940 roku) było wydarzeniem dużej wagi dla miasta i województwa. W uroczystościach pod pomnikiem wzięli udział przedstawiciele władz wojewódzkich i samorządowych Wojska Polskiego i Straży Granicznej, młodzież harcerska organizacji kombatanckich, Prezes Z.G. TML i KPW oraz Zarząd Oddziału Przemyskiego, Prezes Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów inż. Sz.Siekierka. Obecni byli Sekretarz Generalny Rady Głównej Pamięci Walk i Męczeństwa — A.Przewoźnik, Przedstawiciel TKPZL inż. M.Szarbyra wraz z Konsulem RP ze Lwowa M.Krajewskim. Uroczystość prowadził inż. St.Żółkiewicz — Przewodniczący Stowarzyszenia Pamięci Orląt Przemyskich, który przypomniał trudne drogi wiodące do ponownego postawienia pomnika. Wieńce pod pomnikiem oprócz wielu delegacji polskich złożyła również delegacja Przemyskiego Oddziału Związku Ukraińców w Polsce.

W dniu 25 listopada br. w auli II Kliniki Chirurgicznej Akademii Medycznej we Wrocławiu została odsłonięta płaskorzeźba kierownika tej Kliniki, znakomitego chirurga i naukowca profesora dr. hab. Wiktora Brossa. Jednocześnie aula otrzymała Jego imię. Prof. dr Wiktor Bross habilitował się we Lwowie, pracując w klinice Chirurgicznej UJK prowadzonej przez prof. dr. Tadeusza Ostrowskiego.

W Filharmonii Krakowskiej odbył się koncert utworów dedykowanych miastu Semper Fidelis. Wykonawcą była Capella Cracoviensis a program obejmował: Fresk (III) Lwowski K.Moszymański-Nazar, Preludium Chorałowe W.Kilara, Serenata Leopoldina A.Kurylewicza, Krajobrazy Serdeczne T.Machla (z tekstem Witolda Szolgińskiego), Cantus Humilis A.Nikodemowicza (z tekstem Beaty Obertyńskiej), Leopold B.Schäffera oraz Symfonię na orkiestrę smyczkową S.Skrowaczewskiego. Koncert ten był uroczystym i pięknym elementem całorocznego programu „Roku Lwowskiego” nad którym patronat objął Prezydent Królewskiego Stołecznego Miasta Krakowa Józef Lassota. Pomysł i program całego „Roku Lwowskiego” jest oczywiście dziełem Krakowskiego Oddziału TML i KPW a przede wszystkim jego wiceprezesa mgr inż. arch. A.Chlipalskiego.

Kraków pamięta o Lwowie — np. od 15.03.-4.04.br. w Galerii Międzynarodowego Centrum Kultury przy Rynku Głównym czynna była ekspozycja z okazji 100-lecia Lwowskiej Wystawy Krajowej.

Aktualności cd.

W dniu 15.11.br. odbył się w Galerii Łódzkiego Domu Kultury wernisaż wystawy pt. „Architektura Starego Lwowa”, na którą ekspozycję udostępnił Zarząd Główny Stowarzyszenia Architektów Polskich w Warszawie. Organizatorami Wystawy był Łódzki Dom Kultury oraz tamtejszy Oddział TML i KPW.

Oprócz fotografii (których autorami byli m.in. tak wybitni artyści fotograficy jak Jan Bułhak czy Janina Wienecka) prezentujących zabytkową architekturę sakralną i świecką były widoki ogólne miasta ze starych sztychów i litografii.

Z życia Towarzystwa

W Galerii Klubu Miejskiego w Oleśnicy otwarta została 8-go października wystawa malarska pt. „Ten drogi Lwów”. Autorem prac jest Michał Titow, lwowianin wywodzący się z polskiej rodziny, od 4 lat zamieszkały w Polsce, a głównym tematem eksponowanym na wystawie obrazów były fragmenty pięknej lwowskiej starówki.

Wernisaż wystawy zgromadził sporą grupę miłośników Lwowa starszego i młodszego pokolenia, obecni byli też goście spoza Oleśnicy — Viceprezes ZGTML Emil Teśluk, prezes klubu „Leopolis” Janina Flis z Wrocławia i właścicielka „Galerii Lwowskiej” w Puszczykówku koło Poznania Alicja Łukasiewicz.

Wystawę otworzył Prezes Oleśnickiego Oddziału TML i KPW Leszek Mulka. W dowód uznania za jego dotychczasową działalność Viceprezes Zarządu Głównego wręczył mu złotą Odznakę Towarzystwa. Leszek Mulka stwierdził, że traktuje to uhonorowanie jako wyraz uznania dla całego zarządu oleśnickiego oddziału. Przy okazji podziękował dyrektorowi MOKIS-u J. Macińskiemu za okazaną pomoc, a władzom miasta za życzliwość i finansowe wsparcie. Nie omieszczał podkreślić, iż Towarzystwo prowadzi działalność kulturalną, czego przykładem są organizowane wystawy i występy zespołów. Emil Teśluk zaskoczył zebranych informacjami o Oleśnicy z końca lat czterdziestych. Był w mieście w roku 1948 i odwiedził lokal usytuowany tuż za Bramą Wrocławską o jakże miłej jego sercu nazwie „Szczepko i Tońko” (kto go pamięta?).

W Oleśnicy zetknął się w tym czasie z wieloma lwowiakami, zwłaszcza wśród kolejarzy.

Po wystąpieniach organizatorzy częstowali gości lampką wina i lwowskim chlebem kulikowskim. Chleb wypiekany

według dawnych receptur przez Alicję Łukasiewicz w Puszczykówku (i podawany w jej lokalu) był bardzo smaczny. Nic dziwnego, że wzbudził spore zainteresowanie. A nas nurtowało pytanie, skąd w poznańskim „Galeria Lwowska” i chleb kulikowski. Okazało się, że A. Łukasiewicz, jak i jej mąż (uczestnik II wojny, kapitan żegluga wielkiej, m.in. na „Batorym”) to lwowianie. Dlatego ich dom od kilku lat stał się niemal muzeum lwowskich pamiątek, zwłaszcza obrazów.

„Galeria Lwowska” jest dostępna dla wszystkich, którzy mają ochotę ją obejrzeć.

W Kluczborku działa już w ramach organizacyjnych TML i KPW Klub Kołomyjan „Pokucie”, a prezesuje pan Mieczysław Budzianowski, bardzo aktywny w akcji świadczenia pomocy Polakom na Pokuciu.

Tylko w tym roku pomoc materialna i finansowa udzielona przez Klub „Pokucie” parafianom polskim w tym regionie geograficznym przekracza kwotę 100 milionów złotych. Corocznie członkowie Klubu i jego prezes odwiedzają swoją ziemię rodzinną.

W 1994 roku z ich pomocy skorzystały parafie w Kołomyi, Ceniawie, Gwoźdźcu Ottyni, Nadwórnej, Kosowie, Kutach i Zabłotowie.

Już po raz czwarty leszczyński oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa zorganizował konkurs wiedzy o Lwim grodzie. Uczestnicy sprawdzianu musieli odpowiedzieć na blisko 200 pytań i wykazać się wiedzą z architektury, historii, kultury, a także specyficznego lwowskiego języka tzw. bałaku. Finalistki, przy dopingu pe-

nej sali członków i sympatyków TML, do końca walczyły o pierwsze miejsce. Ostatecznie zwyciężyła Maria Lajtke przed Anną Lipowczyk i Władysławą Piotrowską. Co ciekawe, ostatnia z pań jest rodowitą Wielkopolanką. Maria Lajtke po raz trzeci z rzędu wygrała konkurs wiedzy o Lwowie i na własność otrzymała nagrodę przechodnią — reprint medalu „Orląt Lwowskich” oraz egzemplarz autorski książki prezesa TML Janusza Ragankiewicza pt. „Przepraszam Cię Miasto”.

Książka liczy kilkaset stron maszynopisu, z grafikami Barbary Stefaniak z Wrocławia i inicjałami Jerzego Ragankiewicza, starszego brata autora. Ci, co tę książkę czytali twierdzą, że to prawdziwa kopalnia wiedzy o Lwowie i pochłania się ją jednym tchem. A oto co mówi na jej temat autor, prezes leszczyńskiego Oddziału TML i KPW, który — jak podała „Panaleszczyńska” dwój się i troi organizując zebrania, koncerty i konkursy skupiając wokół siebie ludzi zafascynowanych dziejami i folklorem Ziemi Lwowskiej: „*Obserwowałem wojnę i jej okrucieństwa z mojego punktu pod krzakami agrestu w ogrodzie przed domem przy Łyczakowskiej. Dużo widziałem i wiele pozostało w mej pamięci. W ubiegłym roku usiadłem i spisałem wspomnienia. Zebrało się grube tomisko. Nazwałem je „Przepraszam Cię miasto”, bo wtedy jako dziecko, zupełnie niezdawałem sobie sprawy z tego, że los dał mi żyć w tak wspaniałym mieście, z tak wspaniałymi ludźmi. Refleksja przyszła dopiero po latach.*”

Wspomnienia Janusza Ragankiewicza w pojedynczych kopiach dotarły już do nielicznych znajomych i zainteresowanych. Czy znajdzie się sponsor, który wydałby tę wartościową pozycję, w której plastycznie opisany jest Lwów czasu wojny, obserwowany bystro przez 9-letniego Ragankiewicza z ul. Łyczakowskiej nr 79.

Z żałobnej karty ...

Z głębokim żalem informujemy o kolejnym uszczerbku w szeregach lwowian, członków TML i KPW. Ubył z nich Zbigniew Opałek, ze znanej i zasłużonej lwowskiej Rodziny.

Zbigniew Opałek urodził się 20 listopada 1907 r. we Lwowie. Rodzice — Mieczysław i Waleria z Bednarskich — byli nauczycielami. Ojciec w latach 30. kierownik lwowskich szkół powszechnych (im. Piramowicza i św. Marii Magdaleny), był znanym bibliofilem, poetą, a także autorem szeregu prac z zakresu historii kultury i obyczaju.

Zbigniew Opałek do szkół powszechnych uczęszczał we Lwowie, Wiedniu, Krakowie i Nowym Sączu. W latach 1918-1926 był uczniem X Gimnazjum typu humanistycznego im. Sienkiewicza we Lwowie. Po maturze podjął studia wyższe na Wydziale Rolniczo-Lasowym Politechniki Lwowskiej. Od 1928 r. do 1931 r. był asystentem w Katedrze Geometrii Wykreślnej u profesorów Antoniego Plamitzera i Kazimierza Bartla. Po ukończeniu studiów pracował w prywatnych biurach techniczno-leśnych, a w latach 1936-1938 był zarządcą lasów Ordynacji Baworowskich w Germakówce w powiecie borszczowskim. Potem (do 1944 r.) pracował w Dyrekcji Lasów Ordynacji Przeworskiej Lubomirskich w Zmysłówce.

W okresie okupacji włączył się w działalność konspiracyjną; do ZWZ-AK wstą-

pił w maju 1940 r. Odbył przeszkolenie wojskowe w zakresie podoficerskim i otrzymał przydział służbowy jako obserwator w drużynie dowódcy. Należał do placówki Opaleniska przez cały okres okupacji, biorąc udział w przeprowadzanych akcjach i wykonując zlecone mu zadania. Współuczestniczył w wydawaniu konspiracyjnej prasy.

29 października 1944 r. został aresztowany. Ubecko-sowiecką gehennę Zbigniewa Opałka rozpoczęło więzienie w Rzeszowie, potem był obóz w Bakończykach pod Przemyślem; 4 grudnia 1944 r. wraz z innymi uwięzionymi żołnierzami AK z Rzeszowszczyzny został przewieziony na teren ZSRR, do obozu Borowicze. Po przesłuchaniach przez NKWD w czerwcu 1946 r. przeniesiony został za Ural i osadzony w więzieniu w Swierdłowsku. Tam z paragrafu 58 skazano go na pięć lat obozu pracy. Przez następne ponad dwa lata przebywał w Karagandyjskim Obozie Pracy (Karlag). Do Kraju wrócił pod koniec 1948 r.

Wkrótce po powrocie podjął poszukiwanie pracy; otrzymał ją w maju następnego roku w charakterze wykładowcy w Państwowym Leśnym Ośrodku Szkolenio-

wym (PLOS) w Tułowicach na Opolszczyźnie, przemianowanym później na Technikum Leśne. Pracował tu do 1980 r. Był aktywnym członkiem Polskiego Towarzystwa Leśnego, Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Leśnictwa i Drzewnictwa NOT oraz Związku Nauczycielstwa Polskiego. Do TML wstąpił wkrótce po jego powstaniu, jednak z uwagi na wiek i zły stan zdrowia czynnego udziału w jego pracach brać już nie mógł. W PRL nie był represjonowany; do PZPR i ZBoWiD-u nigdy nie należał.

Zbigniew Opałek zmarł 13 lipca 1994 r. Obok Rodziny, w jego pogrzebie wzięła udział duża grupa mieszkańców Tułowic, liczne grono osób związanych z nim pracą zawodową, wychowankowie szkoły, w której nauczał ponad 25 lat, a także przedstawiciele Opolskiego Oddziału AK ze sztandarem i Koła Akowców-Łagierników. W pożegnalnych przemówieniach podkreślano szacunek, jakim się cieszył w swoim środowisku oraz wysoko oceniono jako pedagoga i człowieka.

Cześć Jego pamięci!

Jan Sznajder i Tadeusz Kukiz
(przy współudziale Bolesława Opałka)

Ś.† p.

Stanisław Tereszkiewicz

mgr inż. — podporucznik podharc mistrz,
pracownik Lwowskiej Komendy Chorągwi ZHP,
współorganizator Pogotowia Harcerskiego w 1939 r.

Dowódca 1. plutonu I. Harcerskiej Kompanii Obrony Lwowa
we Wrześniu 1939 r.

Zmarł 2.11.1994 w 83 roku życia
Pochowany na cmentarzu w Przeworsku

Cześć Jego Pamięci

Członkowie Harcerskiego Kręgu Obrońców Lwowa 1939
z siedzibą w Krakowie

S U M M A R Y

- p. 1 — Monuments in commemoration of the Ukrainian Insurgent Army (UPA) erected by Ukrainians in Poland.
- p. 2 — Errors in Polish eastern policy.
- p. 4 — A paragraph on school years in Lwów.
- p. 5 — Polish-Ukrainian agreement concerning the reconstruction of the Lwów Defenders' Cemetery of 1918 destroyed by the Soviets in 1971.
- p. 6 — After the „Storm” action.
- p. 9 — Review of a memoir book on the pre-war Polish East Borderland.
- p.10 — Polish Theatre in Lwów in the years 1900-1906. Part I.
- p.12 — Polish scientist prof. Rudolf Wiegł — founder of the vaccine against typhus fever (Wiegł vaccine).
- p.14 — 150 years of the Lwów Technical University.
- p.15 — A speech by the rector of the Wrocław Technical University in commemoration of the 150th anniversary of the Lwów Technical University.
- p.18 — Polish grammar-school at Kołomyja.
- p.19 — The Volhynian origin of the Miońkowice parish — relation of a priest about the life of his parishioners in the Volhynia during World War II.
- p.23 — Inquiries about lost persons. Errata.
- p.24 — A poem about the Borderland.
- p.25 — Reprint of an article of 3rd December 1943 published in Polish underground press during the German occupation of Lwów, concerning murders committed on Poles by the Ukrainian Insurgent Army (UPA).
- p.26 — The author's impression after reading a 6-volume work on Lwów.
- p.27 — Appeal for relief in reconstruction of a church in Volhynia.
- p.28 — A review of Polish press concerned with the Borderland problems.
- p.30 — The rise and annihilation of the hamlet Ostoja — an eyewitness' relation. Declaration of the Lwów Lovers' Society of Przemyśl.
- p.31 — Appeal for organization of a scientific session devoted to 150th anniversary of the Lwów Technical University.
- p.32 — Letters to the Editors.
- p.33 — Letters from Ukraine.
- p.34 — Current events.
- p.35 — From the life of the Society.
- p.36 — Obituary column.

Lista Ofiarodawców we wrześniu, październiku i listopadzie br.

S.E. Riedlowie, Kraków	500.000	Stanisław Tarnawski, Poznań	100.000	Jadwiga Jackowska, Szczecin	200.000
W.A. Podolecy, Kielce	100.000	Tadeusz Szemelawski, Kraków	100.000	Jacek Miliński, Łódź	100.000
Wiktor Mokane, Jelenia Góra	200.000	TML i KPW, Oddz. Katowice	1.000.000	Bogdan Tabiński, Kraków	100.000
Andrzej Niesiołowski, Warszawa	150.000	Tadeusz Mikusiński, Gdynia	100.000	Wojciech Spólnik, Jasło	100.000
Antonina Obarowa, Półanica Zdrój	200.000	Edward Adles, Kraków	40.000	Stanisław Tabin, Lublin	100.000
Tadeusz Feczko, Przemyśl	100.000	Janina Blum, Wrocław	100.000	Wanda Klimkiewicz, Szczawnica	100.000
Bronisław Suchecki, Wrocław	100.000	W.J. Gryziec, Żary	100.000	TML i KPW, Oddz. Koszalin	1.400.000
Adam Bujak, Regensburg RFN	400.000	Henryk Karski, Oława	150.000	(Pomoc świąteczna, Boże Narodzenie 94 r.)	
Anna Danielewicz, Międzyzdroje k/Jelcza	100.000	Jerzy Chodorowski, Stefan Swaton,	800.000	Andrzej Borzemski, Wrocław	1.000.000
(na budowę kościoła w Łużanach)	100.000	Wrocław		Ludwik Klonowski, Jasło	
TML i KPW, Oddz. Bytom	100.000	Bolesław Hadzicki,		(na kościół w Kołomyi)	300.000
S.J. Mossoczy, Bielsko-Biała	200.000	Świdnica k/Zielonej Góry	90.000	Józefa Lesiów, Wrocław	500.000
Zbigniew Lechowski, Wschowa	40.000	Józef Tarka, Zielona Góra	100.000	Grażyna Stankiewicz, Bydgoszcz	20.000
Adam Pobóg-Spolski, Melzen RFN	200.000	Maria Karska, Oława	150.000	Joanna i Józef Starzeczy,	
				Wrocław	100.000
				Stanisław Piela, Rzeszów	100.000
				Karol Paszkiewicz, USA	
				(dla dzieci ze Lwowa)	2.305.000
				Stanisław Cisek, Wrocław	500.000

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowania

Od Wydawcy

Oddając ostatni w roku bieżącym numer *Semper Fidelis* 6(23)94 do rąk Czytelników, pragniemy przypomnieć, że pomimo wielu różnych trudności dotrzymaliśmy obietnicy danej na początku roku przekształcenia pisma z kwartalnika na dwumiesięcznik. Będzie to kontynuowane również w 1995 roku. Przepraszamy jednocześnie Czytelników za opóźnienie w wydaniu przedostatniego numeru *Semper Fidelis* 5(22)94. Oświadczamy, że nastąpiło to nie z winy wydawcy.

Ponawiamy informację o wysokości prenumeraty na 1995 rok przypominając, że nie dotyczy ona Oddziałów i Klubów TML i KPW, które otrzymują pismo w cenach hurtowych.

- ☛ Dwumiesięcznik „*Semper Fidelis*” — prenumerata 15,00 zł
- ☛ Dwumiesięcznik „*Semper Fidelis*” — cena hurtowa 1,70 zł
- ☛ Dwumiesięcznik „*Semper Fidelis*” — cena detaliczna 2,00 zł
- ☛ Miesięcznik „*Gazeta Lwowska*” — prenumerata 12,00 zł
- ☛ Miesięcznik „*Dziennik Kijowski*” — prenumerata 12,00 zł

Na wyżej wymienione pisma przyjmujemy również opłaty półroczne.

Konto bankowe Fundacji Kresowej *Semper Fidelis*:

PKO IV O/Wrocław Nr 93549-10012-132-3

Dołączamy się do ogólnych Życzeń Świątecznych i Noworocznych w naszym piśmie życząc droгим Czytelnikom zdrowia i wszelkiej pomyślności w nadchodzącym 1995 roku.

Wydawca — Fundacja Kresowa „*Semper Fidelis*”

W imieniu Rady Fundatorów

Prezes

mgr Jan Ziembicki

W imieniu Zarządu

Dyrektor

mgr Danuta Tabińska-Juhasz